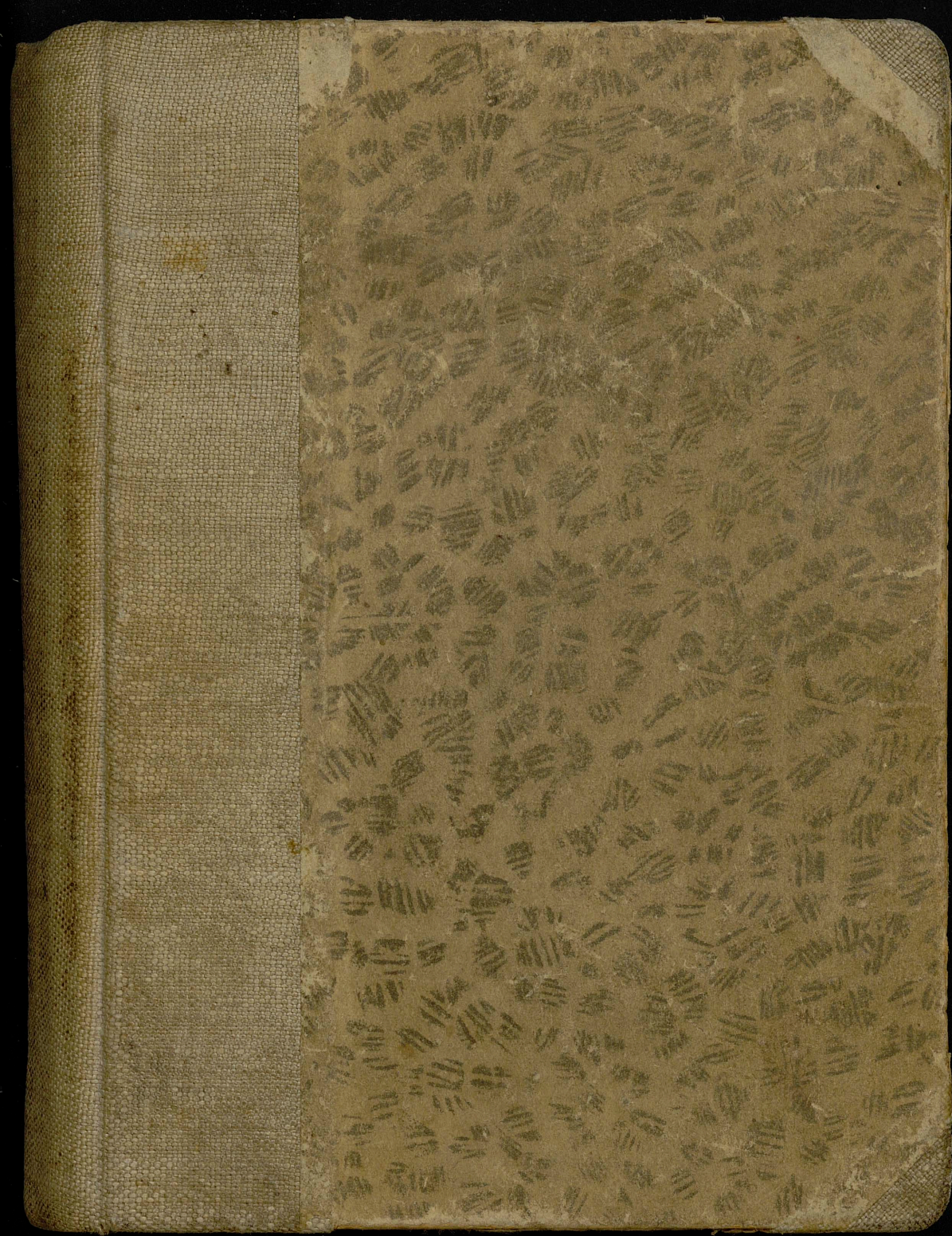








KSAWERY PRUSZYŃSKI

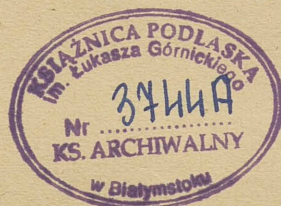
PODRÓŻ PO POLSCE

WARSZAWA — 1937

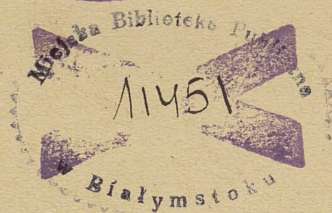
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

7 ✓ 8

Nr 000148



24



884-92

DRUKARNIA „LINOLIT” WARSZAWA

W.
33.111-462

Mojej Matce

WŚRÓD SZKŁA I PLAKATÓW

Pierwszą rzeczą która rzucała się w oczy, to nie zniszczenie, nie zdemolowane sklepy, nie rozbite wystawy, nie obtłuczone tramwaje – ale odezwy. Odezwy było bez końca. Była odezwa dwóch biskupów lwowskich, odezwa prezydenta miasta, odezwa obrońców Lwowa, odezwa Federacji Obrońców Ojczyzny, odezwa ukraińska, odezwa Stronnictwa Narodowego, odezwa akademicka i t. d. i t. d. Rozlepione były wszędzie, od dworca począwszy. Pisma lwowskie drukowały jeszcze inną odmianę odezw: – rezolucje; rezolucje pomniejszych organizacji społecznych, które z tych czy innych przyczyn zadowolili się powzięciem uchwały, nieraz złożonej z kilkunastu punktów, i przesłaniem jej do redakcyj. Toteż pisma lwowskie z pierwszych dni po zajęciach robią dziwne wrażenie; szuka się w nich opisów, relacyj, wiadomości, a znajduje się odezwy, odezwy, odezwy. Ściany domów tego miasta i szpalty jego pism zapełniły się i – przesłoniły odezwami.

Odezwy, to pierwsza rzecz która rzucała się w oczy we Lwowie, ale mimo ich liczebności, mimo powagi

instytucyj, które je wydały, mimo zakłócić jakie zawierały, nie były tą rzeczą która rzucała się w oczy najbardziej. Odezwaniami temi przypominało miasto pierwsze, nasycone elektrycznością, dni wojny, ale rozbite szybami, wielkimi sklepowymi witrynami wdużonymi w głąb, jak rozbite, próżne oczodoły żywego jeszcze zwierzęcia, przypominały samą wojnę. Wielkie gmachy, gmach ubezpieczalni społecznej, gmach teatru Wielkiego, stały ostrzelane najgęstszym gradem pocisków. Szyby pobito tu dokładnie, co do jednej, zadeptywano butami na drobny mak. Lampy gazowe, wielkie lampy łukowe wisiały potłuczone, porozbijane. Resztki tych szyb szklily się w ramach do słońca, tuż obok rozlepionych plakatów i odezw. Wybite szyby i plakaty, mnóstwo wybitych szyb i niemniejsze mnóstwo porozlepianych wszędzie plakatów, dopiero razem wzięte, pokazały miasto podzielone na dwa obozy. Lwów, jak w ruskim miesiącu, podzielony był na dwa obozy, a zasięki tego frontu biegły wzdłuż rozbitych szyb i wypróżnionych z towaru lad sklepowych, a także wzdłuż tych plakatów.

Najwyższym punktem tego miasta jest dawny Wysoki Zamek, kopiec patriotyczny, barokowe, rokokowe i gotyckie wieże kościołów, katedr i cerkwi, zielone szkarpy wzgórz. Pola wdzierają się w miasto, żadnego „lasu kominów!”. To właśnie zastanawia i uderza. Kominy kilku zakładów fabrycznych ukryły się jakby w dolinach: hangary, lotniska ostrzej występują

w panoramie miasta niż dachy fabryk. Lwów nie jest miastem przemysłowym. We Lwowie jest tradycja, są silne spory narodowościowe, jest patriotyzm o którym piszą teraz wszystkie odezwy, jest dumne godło „semper fidelis”. Partje socjalne we Lwowie były zawsze nacjonalistyczne wszystkich odcieni – silne, wpływowe. A jednak ten pochód, w którym szli ławą wszyscy, liczył nie tylko Polaków, liczył Ukraińców, czy Rusinów, liczył Żydów, i polskie, ukraińskie, żydowskie imiona, Stanisławów, Wasylów, i Mojżeszów znajdziemy na liście rannych i aresztowanych uczestników pochodu.

Nie będę pisał o samym przebiegu pochodu. Mimo przeszkód posuwał się on właściwie szybko. Ludzie pokrwawieni i obdarci znaleźli się naraz w śródmieściu, na Legionów, na Akademickiej. O tej porze skończyły się już biura a zapełniło corso i kawiarnie. Muzyka grała w kawiarniach, i w okna tych kawiarni posypał się grad ciężkich kamieni. Wówczas już szyby zaczęto tłuc, jedno za drugim, masowo, wszędzie. Gazety pisały że była w tem jakaś sprawna organizacja, wskazywały na niszczenie aptek ze środkami leczniczymi i opatrunkowymi, ale ludzie lwowscy mówią naogół zgodnie, że był to jakiś szal niszczenia. Na ulicy było pełno ludzi. Otóż ludzie ci patrzyli biernie i osłupiale jak rozbijano szyby, jak wywracano zatrzymane tramwaje, jak podpalono stację benzynową, jak płomień jej buchał jaskrawo nad brukiem.

Te pierwsze akty demolowania miały przede wszystkim charakter niszczenia, nie grabieży. Jedyne co ludzie z przedmieść raczą przeciwstawić słowom plakatów i dzienników, to uporczywe twierdzenie, że nie rabowano, nie grabiono, nie kradziono, tylko niszczone. Jedyne sprostowanie, jedyna odpowiedź, ale odpowiedź na wszystkich ustach. Nie jest to prawda, bo wypadki rabunku były, może były nawet liczne. Ale niezaprzeczalne jest że akcja miała charakter przede wszystkim niszczycielski, a charakterystyczne i powszechne jest wybranie się od rabunku a przyznawanie, niemal osten-tacyjne, do niszczenia.

Wieczorem pojawiły się na ulicy patrole i oddziały, które nie natrafiły na żaden opór, przed którymi rozsypani uczestnicy pochodu ustępowali powoli. Jeszcze dwie godziny, a zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Wszystkie lampy były przecież rozbite. Nocy tej i dnia następnego i jeszcze następnej nocy samochody policyjne robiły olbrzymie wypadki. Aresztowano na ulicy, aresztowano wedle listy notorycznych przestępców i wedle listy podejrzanych o komunizm i O. N. R., aresztowano jakby dla udaremnienia nowego ataku: rzeczywiście, można było powiedzieć, że nowy atak, jeśli miał być, udaremniono. Ilu ludzi znalazło się w aresztach śledczych, niewiadomo. „Ilustrowany Kurjer Codzienny” który podał cyfrę 600, w dwa dni później poprawił ją na 1.000.

Pierwsze odezwy pojawiły się dopiero w sobotę. Szkła było pełno na ulicy, jeszcze można było znaleźć ślady krwi, jeszcze nie powstawiano nowych lamp. Strajk generalny się nie udał, bo pracowano w głównych zakładach miejskich, ale strajk generalny publiczności widać było na wszystkich ulicach. Miasto było jednocześnie puste i pełne, natłoczone gapiami i pozbawione przechodniów. Ludzie chodzili po mieście, krążyli po szlaku pogrzebowym, poznaczonym śladami walki. Tylko maszyny rotacyjne drukarni były niezmordowanie odezwy. One jedne, one pierwsze korzystały z dziwnej koniunktury. Szkło podróżowało w cenie, ale zaraz spadło; nie kupował go nikt, a jednocześnie krążyły pogłoski, że niebawem, w drodze urzędowej, władze sprowadzą zapasy tanich szyb.

Przez niedzielę, poniedziałek, podobno przez dni następne, jeszcze trwały masowe aresztowania, jeszcze jeździły wielkie policyjne samochody, ale tempo wypadków słabło. W szpitalach, zapelnionych jak więzienia, umarło kilku ciężiej rannych, dostawiono do nich szeregi nowych rannych, okaleczonych i pobitych. Ale i to się skończyło. Produkcja odezw i produkcja rezolucyj wzmagala się zato coraz silniej. Radziło niepodległościowe „Zarzewie”, radzili profesorzy lewicowi i prawicowi, pisma z niezachwianą pewnością oceniały, komentowały, uzgadniały to co zaszło z tem „co pisały i o czem przekonywały oddawna”. Skarżono się na zanik sił społecznych, na zwiótczenie sprężystości organi-

zacyj. A przecież, sądząc z plakatów, opierając się na odezwach, polegając na rezolucjach, mało które miasto może się w tej mierze co piękny Lwów powołać na swych kilkadziesiąt najrozmaitszych szanowanych, wpływowych, możliwych organizacyj społecznych. Na tyle, na tak wiele.

Szara masa ludzka, masa z przedmieść, masa robotnicza i rękodzielnicza, dziś masa nędzarska, spłynęła pierwsza, jak wielka fala, przez miasto, w pyłe i okrzykach, w huku strzałów kierowanych ku płynącej nad głowami czarnej, krótkiej trumnie, spłynęła zostawiając szlam połamanego żelaza, porozrzucanych kamieni, potłuczonego tupotem tysięcy nóg szklistego, ostrego żwiru. Fala władzy, jedyna która spotkała na drodze, wcisnęła się spowrotem w uliczki patrolami żołnierzy w stalowych hełmach, z bagnietami nasadzone mi na karabin, popędziła z hukiem ciężkich, obładowanych i zamkniętych samochodów obławy policyjnej. Fala społeczna poszła po nich wszystkich trzecia, ostatnia. Papier plakatów i odezw, czernią słów i podpisów pozatykał także swoje sztandary, woła także swoimi słowami. On może woła nawet najgłośniej. W słońcu majowym tego pięknego miasta, przez które przeszedł huragan, tylko plakaty, białe w słońcu, jasne na tle szarych czy żółtych domów, mają swobodę słowa, wołają głośno, swobodnie, pełnie. I wołają przeraźliwie, przeraźliwie pusto.

Kto mógł nagle, spod ziemi, spod bruku powołać le-

gjon proletarjacki w tym mieście, które prawie nie ma robotników, w którym ruch socjalistyczny snuł się dotąd, anemicznie wciśnięty w rzeki nacjonalizmów, kto mógł przełamać się przez miasto? Niewiele fabryk, w tem kilka państwowych, uspołecznionych, jak monopolu tytoniowego. Robotnicy podzieleni na szereg związków zawodowych, rozbici na nacje. Mówią mi: młodzież. To prawda, że wszędzie było pełno młodzieży, z Zamarstynowa, z Persenkówki, z Podzamcza, z Łyczakowa, z rogatki Janowskich. Może to „bluźnierstwo”, ale było jej tyle, ile w obronie Lwowa. Mówią o bezrobotnych. Kto są bezrobotni Lwowa? Mówią, że wielu murarzy. Otóż Lwów się nie buduje. Ruch budowlany Lwowa jest nikły, niezmiernie nikły. Ludzie nie budują we Lwowie. Dlaczego ludzie nie budują we Lwowie?

Trzeba przejechać za park Stryjski. Na dużych pięknych wzgórzach tego miasta zaczęta, niedokończona, urwana, budowa nowoczesnej dzielnicy. To było zaraz po wojnie, to miała być dzielnica i nowoczesna i polska, tu miał się skoncentrować polski wysiłek gospodarczy Lwowa, jak przedtem, w listopadzie, stoków Cyta deli i góry Kadeckiej skoncentrował się wysiłek orężny. Ta dzielnica się nie buduje. Przed wojną marzono o wielkim Lwowie. Wyciągnęły się w różne kierunki miasta szlaki ulic, jak wysunięte konary drzewa. Konary te nie obrosły w gąszcz nowych gałęzi i odgałęzień. Widziane zgóry, wyglądają dziś jak ręce wyciągnięte

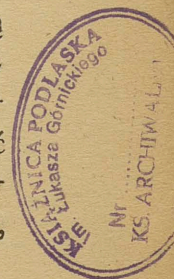
na całą swą długość ku czemuś co miało przyjść, miało być, a nie było.

Ludzie mówią jeszcze, że Lwów „gospodarczo usycha”. Gdy się patrzy na te ulice tak silnie, zdecydowanie wytyczone, ulice, od których nie odbiegły w różne strony rzędy dalszych ulic, widzi się prawdę tego usychania. Myślę o Krakowie, który buduje się nieprzerwanie, gdzie Błonia, Podgórze, Płaszów, Olsza, otoczone są wieńcem nowych zupełnie osad, gdzie Bronowice ze wsi stają się przedmieściem, gdzie miasto sięga po Przegorzały i Bielany, gdzie narosły całe dzielnice małych domów, niskich, spokojnych, domów małych, spokojnych ludzi. Kraków przed wojną wapniał w muzealny stalaktyt, i to było, ostatecznie, w logice rozwoju. Kraków po wojnie rozrósł się niesłychanie. Lwów od wojny zastyga.

Lwów zastyga, i na tle ulic wyschłych, wyciągniętych daremnie ku dzielnicom, których niema, na widok okien wybitych i patetycznych plakatów, wieczorem gdy sam tylko księżyc – ale zato jak teatralnie – oświeca barokowe fasady Rynku, czarną kamienicę Wenecką, gzymsy kamienicy Sobieskich, świętego Jura i Bernardynów, wszystko co piękne i stare uplastycznia się tak pięknie jak nigdy jeszcze. Właśnie dlatego że wszystko wokoło smutne, zniszczone, zamarłe. Tylko w Bruges oddycha się pełną atmosferą przeszłości, tylko w Helsingör. I wtedy widzimy że stary Lwów spogląda na nas barokiem miast włoskich i niemieckich.

Norymbergą i Padwą, że jego święty Jur patrzy tak samo rusko jak Ławra Peczarska Kijowa i święty monastyr poczajowski. Wtedy zobaczymy, że na szyldach lwowskich widnieją nazwiska angielskie i rumuńskie, mołdawskie i ormiańskie, żydowskie i niemieckie, wtedy zobaczymy, że Lwów, semper fidelis, był budowany przez amalgamat narodów, języków i ras.

Miasta tak zbudowanego niema w Polsce. Wilno jest podzielone poprostu przez pół na to co wschodnie i na to co zachodnie. Cerkiew Romanowska, to czysta Moskwa; ceglana i czerwona św. Anna, to gotyk nietylko niemiecki, ale królewiecki, krzyżacki. Granica kultur idzie tam środkiem wileńskich bruków. We Lwowie niema nigdzie granicznych słupów. We Lwowie będzie romańska cerkiew Ormian a barokowa kopuła św. Jura, będą Niemcy i Bizancjum pomieszane jak stragany na rynku. A nawet Niemcy, to będzie grób krzyżackiego wielkiego mistrza, który odbył wyprawę w służbie... Rzeczypospolitej. Granica różnic kultur biegnie tu nie poprzez ulice, ale poprzez gzymsy tej samej budowli, tego samego kościoła, pałacu, cerkwi. Granica narodów tego kraju, jak o tem pisał w „Buncie Młodych” człowiek tutejszy, Stanisław Łoś, biegnie nie granią między dworskiej i chłopskiej, nie poprzez powiaty i gminy, ale poprzez środek łożnic małżeńskich. Głęboką ratio tej ziemi, jej istnienia i rozkwitu, jest łączność wszystkich jego elementów. Lwów stopił w jedno kultury, które gdzieindziej skojarzyć się nie dały. Ten stop,



im bardziej był różnorodny, tem silniej trwał w politycznej polskości kraju, ale też utrzymanie, wznowienie tego stopu, jego amalgamatyczność jest kwestją życia i zaniku Lwowa.

Rano, gdy się przyjeżdża do tego miasta, gdy jeszcze nikogo niema, idą ulicami od przedmieść baby w chustach z bańkami mleka. Mleko bulgocze w bańkach rozstawionych w wagonach pociągów podmiejskich, a wagony polskich kolei państwowych rozbrzmiewają mową do polskiej podobną a niepolską. Codziennie z wieńca wsi ruskich nachodzi ten babski najazd, i codziennie na targowiskach baby, rozstawiające swoje mleko, kapustę i rzodkiewki, mówią mową niepolską. Wtedy redakcje biją na alarm, że pochód ruski wsącza się w centrum Lwowa.

Pochód ruski wsącza się w centrum Lwowa jak się wsącza odwiecznie i wszędzie wieś do miasta. Pochód ruski wsącza się dziewczynami, które idą służyć w mieście, Kaškami Karjatydami, ciężkimi, bezbronnymi, urodziwemi. Pochód ruski wsącza się studentem, synem chłopca, a czasem nawet aż „urzędnikiem” – zazwyczaj... woźnym z magistratu. Pochód ruski jest przyjmowany i przerabiany przez miasto. Dziewucha zrzuci chustkę i będzie chodziła z żołnierzem, który jest Polakiem, student nie znajdzie dla siebie miejsca, woźny z magistratu będzie się bał, będzie miał rodzinę, będzie drżał o posadę, będzie głosował na B.B. W. R., modlił się w kościele, mówił po polsku. To jest prawda,

i to także jest prawda, że miasto dzisiejsze robi wszystko co można aby tych ludzi wchłonąć bez śladu, ale z roku na rok wytryska szylk nowego ukraińskiego sklepu, nowej kooperatywy, nowej targowli. Choć każdy stragan witają redaktorzy gromkim biciem w werbel.

I miasto się nie buduje. I miasto, które ma mało robotników, ma dużo bezrobotnych.

Ludzie lwowscy, ludzie z Małopolski Wschodniej, budują się w Krakowie. Niema ochotników na kolonizację na tym terenie, gdzie prócz tego wedle wskazań polskich poważnych ekonomistów, przeludnienie i głód ziemi dosięga szczytu. Ludzie nie chcą mieszkać i budować się w bastjonie. Miasto się nie buduje i nie będzie się budowało póki trwać tu będzie nastrój niepokoju, walk, zamieszek ulicznych. Miasto się nie będzie budowało i nie będzie pracy dla tych ludzi co tu już są i tych ludzi, których co roku przybywa na przedmieściach.

ŚLUBOWANIE

Znacie taki obrazek, tani, pocztówkowy a miły, Wojciecha Kossaka, dzieci lwowskich z obrony Lwowa? Jest chłopiec w za dużym szarym szynelu, nachylony cały nad karabinem, stoi nad nim młodziutka dziewczyna ładująca inny karabin, są groby i brzozy cmentarza łyńczakowskiego, śnieg poplamiony rudą krwią i błotem, a oni wypatrują coś przed sobą szerokiemi, dziecinnymi, zdziwionemi tą śmiercią, która w ich rękach i w ich karabinach skurczyła się w mały kawałek ołowiu, oczami? Więc teraz tacy sami chłopcy i akurat takie same dziewczęta wysypują się z wagonów ustawionych szerokiemi rzędami po wszystkich torach za małej na nie stacji. Wysypują się jak to się widzi z żołnierzami na manewrach, niekiedy nawet formują się w szeregi i wtedy dopiero ruszają dalej. Jest może zaledwie trzecia rano na tej stacji, którą o tej porze mijają tylko zaspane dalekobieżne pociągi. Teraz takich pociągów nadzwyczajnych, jak ten co właśnie nadszedł, przybyło lub przybędzie jeszcze dwadzieścia jeden. Na dworze już zupełnie jasno, tylko niema słońca i niema ludzi na ulicach. W to śpiące miasto, gru-

pami, kupkami, gromadami, wchodzą teraz ci młodzi. Jeszcze raz jak jakieś wojsko obce, wkraczające do opustoszałego miasta. Jakieś sztandary zwinięte i okryte pokrowcem przewozi dorożka. Spod dworca wypływa coraz więcej ludzi. Z mostu przerzuconego nad torem widać nowe zajężdżające pociągi.

Ten tłum, który mnie ogarnia i mija składa się z twarzy szarych ze zmęczenia i bladych. Ale to nie tylko noc spędzona w wagonowym tłoku. Pod ubraniami odgaduje się w piersi wklęsłe, niezdrowe, ramiona nieobrosłe mięśniami, plecy wcześniej zgięte. Odgaduje się złe odżywianie i biedę, życie nie tylko biedne ale wadliwe. A oto co dziś jest w Częstochowie, to naprawdę największe, jak Polska Polską jeszcze nie spotykane, skupisko młodzieży akademickiej. Tylu razem nie było ich jeszcze nigdy i nigdzie. Można więc dokonać przeglądu młodego inteligenckiego pokolenia, ale ten przegląd nie wypada wesoło. Nie trzeba być lekarzem, nie trzeba być oficerem z komisji uzupełnień, nie trzeba było być w Niemczech, Czechach, Austrii, wszędzie na Zachodzie, widywać tam takimi samymi wczesnymi niedzielными rankami wysiadające tłumy młodych ludzi idących na wycieczkę. Tamte rumiane, młode twarze, tamte postacie smukłe, wystrzelające w górę, wyprostowane w strunę, markowana krokiem sprężystość kolan, harmonijny, sportem urobiony ruch silnych ramion, znaczą przerażającą fizyczną różnicę, jaka dzieli naszą młodzież od młodzieży całej niemal Eu-

ropy. Wszystko co widywało się zagranicą, mówiło o trzecim dziesięcioleciu powszechności sportu, o rannej gimnastyce, o coniedzielnym wycieczkach, o nartach, górach, morzu, słońcu i skautingu, o bieżniach i boiskach, o wielkich elipsach stadjonów. Wszystko co się widzi tutaj, mówi nie tylko o biedzie, mówi o życiu złem, źle zorganizowanym, nieumiejętnym, mówi o braku wszystkiego tego, co szeroko było danem tamtym. Przypomina się wtedy, że chłopcu na obrazku Kossaka i dziewczynie co ładuje karabin nie zbywało na bladeści i zapadłości policzków, że to co się tak jasno paliło w ich oczach, to może była nie tylko heroiczna gorączka walki ale smutniejsza gorączka suchot. Tylko że wtedy w 1918 r. staliśmy dopiero na progu nowego, własnego życia. Teraz odeszliśmy już od tego progu daleko. Lwowski listopad zamienił się w legendę. Blade, mizerne dziewczyny, niezdrowi, cherlawi chłopcy nie przeszli, niestety, do legendy.

Do legendy, książki z obrazkami i filmu, nie przeszli także, jak się okazuje, inni jeszcze chłopcy. Oto wśród tego tłumu, spływającego od dworca, migocą nagle szamerowania złote i srebrne, petlice i naszywki, mundury czerwone jak maki, niebieskie, ciemnozielone, białe, z szarfami i wstęgami przez pierś. Wygląda to jakby w jakimś kinie na przedmieściu weszli nagle w tłum widowni bohaterzy ekranu, bohaterzy jakiegoś amerykańskiego filmu o gwardzistach wielkiej księżny Gerolstein, huzarach króla Panonji, kirasjerach

Monaca. Pawie pióra i pawie barwy zgubione na chłopskiem podwórzu. Porównanie z królestwami imaginacyjnymi nie jest takie nieścisle. Arkadja, Demetrja czy Akwilonja z korporanckiego spisu, to nazwy któremi reżyserja filmowa mogłaby śmiało zastąpić swoje również nieistniejące Panonje i Astorje. Kilkadziesiąt polskich burszenszaftów wystąpiło w Częstochowie z niebywałym przepychem już nie dekli, ale mundurów. Ci ludzie opięci jak prawdziwi huzarzy, wcięci w pasie jak osy noszą jakieś ogromne rapierzy-ska z gardami z aksamitu. Sztandary korporacyjne ze wspaniale wyhaftowanymi herbami, herbami dzielonymi na szereg pól i poletek, jak w heraldyce niemieckiej, lśną jeszcze wspanialej niż mundury. Zastanawiam się czy pod temi szamerunkami i złocistościami, szarfami i pętlicami kryją się przynajmniej lepiej zbudowane klatki piersiowe. Niestety, mam wrażenie, że niejeden mundur sztukuje grubą warstwą krawieckiej waty niedostatek rycerskich mięśni, smętne ubóstwo bicepsów.

– Obóz idzie!

Przechodzień ustępuje automatycznie na te słowa, wypowiedziane nie krzykiem, ale głośnym rozkazem. Istotnie ulicą wali ósemkami kilkudziesięciu ludzi. Mieczki Chrobrego błyszczą w klapach.

– Niech żyje Obóz Narodowy!

– Niech żyje. Niech żyje.

To jeszcze nie jest entuzjazm tłumów. Jest zresztą

piąta rano. To ci z tej młodzieży, którzy jedni przybyli tu zorganizowani i karni. Odpowiadają im tylko inni zorganizowani. Oddział krocących przecina niegęsty tłum krótkim mieczem swego przejścia. Nieco rąk podnosi się po faszystowsku. Kilkanaście kroków dalej znowu to samo. Za tymi co przeszli idzie nowa kolumna mieczyków.

– Niech żyje Obóz Narodowy!

Znowu to samo. I znowu tak samo i to samo:

– Niech żyje. Niech żyje.

Trzy, cztery, pięć razy to samo. Aż naraz z jakiegoś boku wydziera się niezareżyserowany jeszcze, krzykliwy, suchotniczy głos:

– Niech żyje Polska narodowa, precz z Żydami!

Ale teraz masy są już rozgrzane, rozhuśtane. Wznosi się z wielu, ze wszystkich stron, spływające w jedno

– Preeeeecz!!!...

*

Jasnagóra, to otoczony szerokimi wałami dawnej twierdzy klasztor-zamek, barokowy kościół, przy nim duża osobna kaplica, ciemna i mroczna, w której w ołtarzu pośród srebrnych wot wisi Cudowny Obraz. Kościół jest w tej chwili pełen akademików, klęczących w ławkach, wystających przy konfesjonalach, przy ołtarzach, jedna za drugą odprawiają się msze, przez sam środek kościoła zmienia się ustawicznie dwuszereg

klęczących, pomiędzy którymi przechodzi dwóch księży w białych paulińskich habitach, rozdając Komunię Świętą. Trzeba wiedzieć że ten obrzęd nie ma odpowiednika w żadnej religii świata, że to nie mistyczne, ale prawdziwe Ciało Chrystusa pod postacią chleba przyjmuje katolik. Teraz ten tłum z dworca klęczy tutaj, z rąk księży otrzymuje sakrament.

Ci ludzie klęczą teraz, podnoszą głowę na zbliżenie się księdza, odchodzą po Komunii, kryjąc twarz w dłoniach. Barwnych korporantów niema prawie wcale. Białe twarze tych ludzi są teraz skupione, przeżywające. Ci ludzie naprawdę pielgrzymowali tu, i ci ludzie, przyszli doktorzy, architekci, sędziowie, nauczyciele, najoświecieńsza część młodego pokolenia, przyszła inteligencja narodu, wierzy i daje wyraz swej wierze tak jak ci chłopci, baby wiejskie i zwiędłe dewotki wmieszane w tłum młodzieży. Ta masa, olbrzymia, przez ten kościół jak przez wielki cembrowany kanał przepływająca masa, każdy ludzki atom tej masy wierzy w to, że właśnie w tym momencie pod postacią opłatka, pszennego ciasta, mąki zmieszanej z wodą, tak jak dziś jeszcze w Palestynie i na całym Wschodzie przyrządza się chleb, kryje się Bóg i do nich przechodzi. Ta wiara, trudna, niepojęta i dziwaczna dla każdego spoza tej religii, jest dla nich w tym momencie czemś zupełnie zrozumiałem, oczywistem i prostem.

Myślę o tem i myślę że trzydzieści lat temu trzeba

było przystępowanie do Komunii Świętej w kościele katolickim szczególnie ożywić, że z tego sakramentu, który w swej niezwykłości uczyniono rzeczą wyjątkową i rzadką, starano się uczynić nanowo *panem quotidianum* jak za czasu mrocznych agap niewolniczych w kryptach katakumb. Temu lat dwadzieścia była to forma religijności niemal ginąca, zacieśniająca się do chłopów z odległych od miast stron, takich samych jak owi wiejscy pagani schyłkowych wieków cesarstwa rzymskiego, którzy byli ostatnią ostoją ginących bogów latyńskich, do kobiet, znowuż tych kobiet które najdłużej w średniowiecznej Polsce wynosiły cichaczem za próg domów wieczorne ofiary egzorcyzmowanym przez nową wiarę bożętom. Teraz niepodobna nie wiedzieć, że ci wszyscy młodzi jak chłopci i kobiety, że spełniają ten obowiązek, dziwny dla obcych kręgowi chrześcijaństwa. Przez kościół przesuwają się tłumy.

Kilka lat temu, w „Przeglądzie Powszechnym”, młoda panna pisała o postępującym wzroście religijności młodego pokolenia. Cytowała cyfry. Religijność trudno jest wymierzyć cyfrowo. Młoda panna cytowała rosnące istotnie z roku na rok cyfry odprawiających doroczne rekolekcje, mniej ściśle już wyliczone cyfry rekolektantów przystępujących po zakończeniu rozmyślań do Komunii Świętej. Cyfry były imponujące jako cyfry. Powiedziałem jej wtedy, że jednak istnieją jeszcze inne cyfry, które odmierzają postępy religijnienia młodzieży akademickiej, ale w odwrotnym kierunku.

Statystyka policyjna dorocznych rozruchów antysemitów mówi, że stają się one coraz częstsze, coraz dłuższe, w swym przebiegu, coraz więcej zostawiają ofiar i więcej ogarniają uczestników.

Niewątpliwie najciemniejszą epoką Polski była ta kiedy najczęściej przeklepano różańców, i znowuż niewątpliwie w tej epoce Częstochowa należy do miejsc gdzie czyniono tego najczęściej. Ale trudno zapomnieć, że nietylko czad złej religijności padał stąd na dusze ludzkie. Niedole, dla których nie znajdowano na świecie innego wyjścia, smutki bez innego pocieszenia, najgłębsze bóle ludzkie całych wieków i całych pokoleń kładły się i ścieliły u stóp tego Obrazu. Niewątpliwie nigdzie tak silnie jak tu nie paliła się w tym kraju ustawiczną lampą wiara w istnienie absolutu, czegoś ponad światem, wyższego porządku rzeczy, ostatecznej sprawiedliwości. Na przestrzeni dziesięciu wieków zorganizowanego jakotako życia w tym kraju, wiara ta była jedyną myślą, ideą, która dotarła powszechnie i głęboko, i w tym kraju gdzie wszystko z obcą myślą się wymyka, potrafiła stosunkowo powszechnie to wszystko w nie objąć. Jedno tylko pozostało dla niej, jak dla wszystkich innych idei, nieprzenikalne, – działania ludzkie.

Częstochowa stała się kiedyś kamieniem, na którym oparła swe stopy padająca w przepaść Rzeczpospolita. Polska szwedzkiego „potopu”, który przypomina tu o

sobie kulami działowymi wmurowanymi w ściany klasztoru, nie chciała walczyć za króla, nie stanęła jak w r. 1920 w obronie stolicy, oddała wszystko. Mała twierdza i nie najpierwsze wówczas jeszcze miejsce pielgrzymek w Polsce, stawiało czoło i zorganizowało opór szerokich mas ludowych. Jest faktem, że ksiądz Kordecki za swoim krzyżem powiódł do boju większe masy chłopskie niż to uczynił Kościuszko swą sukmaną, Traugutt – manifestem. W sto lat wszystko ułożyło się inaczej. Kult Częstochowy był wtedy w Polsce niezawodnie silniejszy, a jednak wojska Krecztnikowa łatwo zdobyły twierdzę na konfederatach barskich. Niewątpliwie czarna karbowana peruka Jana Kazimierza, z której natrzęsali się rokoszanie Lubomirskiego, była obca światu podgolonych łbów szlacheckich, ale niewątpliwie pudrowany Stanisław August był im jeszcze bardziej obcy, i dlatego szabla rosyjska zdołała tak bezgłośnie przeciąć łączność sił religijnych z ginącym państwem polskim. W sto i kilkadziesiąt lat potem rekruci z tych stron mieli nieść na pole walki obrazki z Jasnogórką, zaszytą w sukno szkaplerzy. Byli to żołnierze Mikołaja II idący pod Mukden, a ich szkaplerze spotykały się na polach mandżurskich z ikonami innych żołnierzy tej samej armii.

*

Jest już dziesiąta rano, i wśród bicia dzwonów wysuwa się z kościoła procesja sztandarów akademickich,

księży, delegatów młodzieży, rektorów uczelni. Proce-
sja przechodzi szerokim walem okalającym dawną
twierdzę. Akademicy niosą Cudowny Obraz, ten sam
którym kiedyś zażegnivano wojska Karola Gustawa.
Na murach ustawiony jest wielki ołtarz, a tuż pod mur-
rami szeroki plac podszczytowy zalało morze głów. Do
akademików dołączyły się olbrzymie procesje chłop-
skie. Te masy chłopów i masy młodych inteligentów
przyjmują klęcząc obraz, ściemniały od wieków, posu-
wający się na wałach, niesiony na ramionach młodych.
Przed ołtarzem, na którym spocznie, odprawiona bę-
dzie msza święta przez Kardynała Prymasa Polski. Bę-
dzie to chwila uroczystego ślubowania olbrzymich mas
młodzieży akademickiej na wierność. Ślubowania cze-
go?

*

Msza prymasowska i kardynalska śpiewa swoje, te
same co msza w wiejskim mówiona kościele, odwieczne
łacińskie słowa. Pierwszy raz powiadał je tu na zło-
mach uroczyskowych dębów św. Wojciech – i jej sło-
wa są to jedyne słowa, które brzmiały w tym kraju tak-
samo przed tysiącem lat, co dzisiaj. Olbrzymi tłum
młodzieży słucha kazania, które mówi o szczególnej u-
roczystości tej chwili. Słucha pisma delegata papieskie-
go, które mówi o tej samej uroczystości. A potem przez
wielkie głośniki płyną czytane przez biskupa słowa

przysięgi na wierność Matce Boskiej, Patronce Mło-
dzieży Akademickiej, że:

*zawsze i wszędzie stać będziemy przy świętej
wierze Kościoła Katolickiego w synowskiej ule-
głości dla Stolicy Apostolskiej; że wiary naszej
bronąć i według niej rządzić się będziemy w ży-
ciu naszym osobistym, rodzinnym, społecznym,
narodowym, państwowym; że z wszelką usilno-
ścią szerzyć będziemy cześć i nabożeństwo dla
Ciebie; że każdego roku w uroczystej piel-
grzymce przychodzić będziemy na Jasną Górę,
jako wybrani synowie Twoi do stóp Matki na-
szej umiłowanej.*

Bardzo dużo. Albo bardzo mało.

*

Teraz następuje wielka minuta ciszy. Radjo ogłasza,
że prymas udzieli papieskiego błogosławieństwa. Ol-
brzymi tłum na placu klęka. Stoi tylko kardynał Hlond
w otoczeniu asysty. Tuż przed nim, plecami do tłu-
mów u stóp twierdzy – kilku młodych ludzi. Są to czo-
łowi przywódcy wycieczki, ale ich nazwiska masom
studenckim są mniej znane z sodalicyj marjańskich niż
z wielkich ruchów politycznych.

Przez chwilę, przez mgnienie oka, wydaje się, że ja-
sne, spokojne oczy prymasa patrzą w oczy tych ludzi.

I ci ludzie także patrzą w oczy najwyższego autorytetu kościelnego w Polsce. Trwa to ułamek chwili, bo oto ręka kardynała podnosi się i pocznie błogosławić – ale ten ułamek sekundy ma swoją wymowę.

– Widzisz – mówiły oczy tych ludzi.

– Jesteś dziedzicem św. Wojciecha który ten kraj chrzcil, twoi poprzednicy byli interrexami, oni rzucali klątwy lub wkładali korony na głowy jego królów. Ty jesteś najwyższym autorytetem kościelnym w Polsce dzisiejszej, i oto dlatego przed Tobą stoją masy polskiej młodzieży inteligenckiej, przyszłej najoświećszej, w dzisiejszym ustroju największy wpływ na rządy krajem wywierającej, warstwy społecznej. Ty wiesz, i my to wiemy, i wszyscy to wiedzą, że takie masy młodzieży nie przybyły jeszcze i nie przybędą skłonić głowy przed żadnym innym autorytetem w tym kraju, nawet kiedyś przed Belwederem, nawet dziś przed Wawelem, bo wszystkie inne autorytety znajdują je rozdzielone, różniące się, skłócone. Takie masy młodzieży inteligenckiej w Polsce 1936 roku odnajduje się tylko u stóp Jasnej Góry, u stóp tego obrazu i przed Tobą, biskupem katolickim. Tych co tu przybyło jest dwadzieścia tysięcy, i tych dwadzieścia tysięcy, to przeszło połowa młodzieży inteligenckiej w całej Polsce. Policz, ilu nie mogło przybyć z tak daleka. Potem spojrzysz na nas. Zobaczysz na naszych piersiach znak ruchu politycznego, mały mieczyk, z którym szli ci młodzi. Ta

młodzież poszła za nami, i to myśmy ci ją przyprowadzili.

W oczach prymasa było milczenie. Oczy przywódców mówiły dalej:

– Wiemy, że stanąłeś od nas zdala, że chcesz od naszego ruchu odciągnąć kościół i uczynić go innym ruchom w tej samej mierze dostępnym, czy raczej żadnemu z nich w pacht nieoddanym. Wiemy, że temu *cesarzowi*, którego my zwalczamy, oddajesz wszystko co *cesarskie*. Wiemy, wiemy wszystko. Ale Ty także wiesz że wszystkie ruchy młodych, kierowane przeciw nam, są kierowane i przeciw Temu co Ty reprezentujesz. Ty wiesz taksamo dobrze, jak my to wiemy i jak wszyscy w tym kraju to wiedzą, że wszystkie Legjony Młodych i Straże Przednie i wszystko, wszystko inne, było organizowane i prowadzone przeciw Tobie. Ty znasz najlepiej drogi na które odprowadza się wszystko – prócz nas. I dziś możemy Ci powiedzieć, że te masy które tutaj, pomimo tamtych prac syzyfowych, przed Tobą stoją – myśmy Ci je tylko powiedli, wbrew tamtym, tylko my, choć z nami nie jesteś.

W oczach prymasa było dalej milczenie. Oczy przywódców mówiły dalej:

– Wiemy, że w myślach Twoich ścigasz widok innego katolicyzmu na Zachodzie, wiemy że chciałbyś go mieć w Polsce, wiemy, że tamten katolicyzm jest katolicyzmem młodych i intelektualistów, Tu masz przed sobą taki katolicyzm, ale ten polski katolicyzm jest je-

szcze katolicyzmem mas. Tego na Zachodzie dziś nie-
ma. Jesteś jedynym autorytetem kościelnym, przed któ-
rym to co młode i to co się kształci korzy się tak jak
teraz. I to także rozważ i oceń.

W oczach prymasa było ciągle milczenie. Oczy wo-
dzów mówiły dalej:

– Ty wiesz, jakie są nasze hasła, jaki nasz program,
jakie zamierzenia przyszłości. Ty wiesz, że jest w nich
miejsce na nienawiść, niemniejszą od tej jaka huczy
za zachodnimi brzegami Twojej diecezji. Musiały Cię
dobiec nasze okrzyki zrana, hasła wypisane na niejed-
nym pociągu. Znasz walki i zaburzenia, z których wy-
rosliśmy na przywódców tłumu. My nie wiemy co Ty
o tem sądzisz. Kościół katolicki ma w swych szeregach
kardynałów Faulhaberów, którzy płaszczem swej du-
chownej godności i puklerzem przykazań Bożych okry-
li przed innym nacjonalizmem skopane „Judentum”
Izraela. Kościół katolicki ma praelata Prądyńskiego,
którego zdaniem antyżydowskie zarządzenia nowych
Niemiec stoją w przedziwnej zgodności z postanowie-
niami konstytucyj apostolskich i synodów. My nie wie-
my komu jesteś bliższy, Prądyńskiemu czy Faulhabe-
rowi. Ale ta młodzież, która stoi masą tysięcy przed
Tobą, jest bliższa Prądyńskiemu. I ty, prosimy Cię,
bądź bliższy Prądyńskiemu.

I jeszcze milczenie. W jakichś oczach czai się śmiel-
szy błysk:

– ...bo inaczej ci młodzi mogliby odejść...

Ale w większości oczu panuje wahanie:

– ...lub, jeśli Ci trudno, milcz. Twoje milczenie bę-
dzie nam wystarczało...

Co może w takiej chwili myśleć następca św. Woj-
ciecha? Przed sobą, jak Chrystus z wysokiej góry, wi-
dzi ukazywane mu królestwa dusz. Te królestwa są naj-
bardziej pożądane przez każdą religję. Być może, pry-
mas widzi w tej chwili i innych biskupów, którzy przed
nim wznosili dłoń błogosławieństwa nad pochodem
Franków, Cherusków, Longobardów i Gotów, i nim
tym ludziom ponieśli naukę, kreślili nad nimi znak
krzyża. I teraz szerokim, pewnym ruchem ręki kreśli
ten sam znak nad tłumami tam wdole. Ludzie klęczący
przyjmują błogosławieństwo papieskie. Msza jest skoń-
czona, i zaraz wychodzi nowy ksiądz z mszą. Prymas,
obaj biskupi odeszli do klasztoru. Dochodzi jedenasta,
jest skwar, upał i słońce. Przez głośnik zapowiedziano,
że odbywać się tu będą jeszcze msze, że plac jest w ten
sposób świątynią i że należy zachowywać się na nim
jak w świątyni. Aż z rogów placu bucha okrzyk pod-
chwycony przez setki głosów, jeden, drugi. Znowu
z innej strony. Znowu z innej. Jakaś orkiestra gra
„Hymn Młodych”. Okrzyki nie ogarniają nigdy całe-
go tłumu. Rozszarpują go, wyrrywają zeń, jak szmaty,
części krzyczące. Plac pod klasztorem jest już jak sej-
mik z czasów saskich. U góry, pod baldachimem i przed
Obrazem, ksiądz odmawia tymczasem ciche modlitwy
mszy:

- Introibo ad altare Dei
- ad Deum qui laetificat juventutem meam.

Ale gdy się zejdzie nadół, widzi się, że wśród zgiełku i krzyków są ludzie milczący, którzy na zdeptanej trawie podawnemu klęczą. Nie, tych ludzi w olbrzymiej większości nie przyprowadziła żadna partja, żaden mieczyk. Ci ludzie dziś nie oprą się żadnym okrzykom, choć nie podchwycą żadnych. Teraz jeszcze tylko się modlą.

*

Katolicyzm polski zajmuje w katolicyzmie świata zupełnie odrębne stanowisko.

Są kraje, Francja przedewszystkiem, gdzie katolicyzm stał się wąską strugą wijącą się wśród współczesnego życia, gdzie masy nie są katolickie, bywają antykatolickie. Katolicyzm jest tam doktryną nielicznej, młodej, intelektualnej elity, oddzielił się od prądów nacjonalistycznych i prawicowych, choć bez wątpienia nacjonalizm tych prądów był dużo mniej skrajny niż nacjonalizm innych krajów. Katolicyzm przerzucił się tam na doły społeczne, zaczyna się wdzierać w ruch robotniczy, godząc tu swoje dogmaty z ich socjalnem postulatem. Są dalej kraje zeszłowieczne, jak Hiszpanja przedewszystkiem, gdzie katolicyzm jest religją mas szerokich ale najciemniejszych, religją starszych roczników, religją ludzi i warstw społecznych, nie dynamicznych już lecz statycznych.

Otóż Polska jest między temi dwiema - i narazie bliżej Hiszpanji.

Polska nie utraciła jeszcze charakteru kraju o katolicyzmie statycznym, nie zyskała charakteru kraju o katolicyzmie dynamicznym. Polska stara się przemieniać pierwszy w drugi. Przynajmniej to można uważać za zadanie katolicyzmu w Polsce. Są ludzie, którzy sądzą, że tą przemianę można przeprowadzić drogą „wypracowania” jakiegoś katolickiego ustroju gospodarczego czy wywieszenia „katolickich czerwonych sztandarów”, wszystko jedno jakich, byle nęcących świeżością haseł tłumy. Mam wrażenie - że nie.

Nie wydaje mi się możliwe wiązanie katolicyzmu, wielkiej religji, z pewnym jednym typem ustroju gospodarczego, korporacyjnego czy jakiegokolwiek bądź innego. Ustroje gospodarcze są zbyt płynne, zbyt poddane koniecznościom życia, aby można było ustalić że taki właśnie a nie żaden inny jest sparagrafowaną Ewangelią. Nie wydaje mi się celowe „ożywianie się” przy pomocy „haseł czerwonych”. Natomiast wydaje mi się celowe dbanie aby wszystkie formy życia społecznego, gospodarczego narodów starać się uczynić bliższymi pojęciom chrześcijańskim. Tylko to i nic więcej, ale to już do końca. I na tej drodze trzeba będzie pójść śladami „Kazań adwentowych” monachijskiego kardynała. Trzeba będzie wybrać między Faulhaberem a Prądzyńskim. Trzeba będzie powiedzieć

czego nie wolno, przypomnieć naruszone i naruszane Boże przykazanie.

Od Częstochowy ślubowań akademickich są tylko dwie drogi. Do Faulhabera, do katolicyzmu młodej Francji, to jedna. Do czasów saskich, to druga. „Od powietrza, głodu, ognia i wojny” – śpiewa chór modlących się przed Cudownym Obrazem. „Od nagłej a niespodziewanej śmierci”. „Od siideł szatańskich”. „Od ducha nieczystego”. Nic się w tych słowach z czasów Kochanowskiego nie zmieniło, i starsze są one na tej ziemi od wszystkich hymnów narodowych. Dziś do litanij polskich przybyła nowa zwrotka o Patronce Młodzieży Akademickiej. W tym kościele chciałoby się do modłów o ochronę przed niebezpieczeństwami grożącymi dodać także, choćby nie wierząc, jedno: „Od powrotu czasów saskich, od powrotu saskiej religijności i saskiej wiary zachowaj nas, Panie”.

ŻÓŁCI LUDZIE Z ŁODZI

Człowiek, który miał mnie tu spotkać, zatrzymał mnie w drodze gdy szedłem, zapytał czy ja to właśnie jestem ja, poczem poinformował krótko, że znowuż on to jest właśnie on. Powiedział mi także, że wiedząc którą będę musiał przejść, wolał spotkać mnie tu niż na „podpunkcie”. Niebardzo wiem, co to jest „podpunkt” – spotyka się to słowo w sprawozdaniach z procesów komunistycznych, ale pierwszy raz widziałem endeka, mówiącego o podpunktach. Nie wiedziałem i nie wiem dziś jeszcze o nim więcej jak to, że mnie z nim skontaktowano, że zajmuje poważne stanowisko w łódzkim bojowym aktywie, że prowadzi na tym terenie robotę. W chwili gdy to piszę, przypominam sobie, że „aktyw” i „robota”, to także słowa z nieendecckiego zaczerpnięte słownictwa, ale że słyszałem je teraz wielokrotnie właśnie z ust endeckich, i że do tych ludzi, których spotkałem w Łodzi, słowa te pasowały.

Tego dnia poszliśmy razem wolnym spacerowym krokiem niedzielnych przechodni. Potem siedliśmy do tramwaju, i miałem go dłuższą chwilę, milczącego, na-

przeciw. Był niewysoki i nieniski, nieszcupły i niegruby. Wyciągnął przed siebie na kolana ręce krótkie, niezdarne, ciężkie. Był zupełnie nijaki. Widziałem różnych agitatorów, działaczy, zgola hien roboty partyjnej i burdziarzy. Nigdy nie spotkałem wśród nich człowieka, z którego emanował tak wielki, tak zupełny spokój, tak w sobie zwarte najmocniej opanowanie, tak różne od tego co mówił. Czy to on rzucał bomby do sklepów łódzkich, zakładał petardy, których eksplozja zgasiła życia ludzkie? Może on, może nie on, ale to pewna, że o tych rzeczach ten człowiek musiał chyba wiedzieć bardzo dobrze. Dużo potem, popołudniu, gdy byliśmy w polu, mówił o tych zamachach, przed którymi drżała Łódź, swoim spokojnym, niemal flegmatycznym głosem, z obiektywizmem poprawiania wadliwie przytoczonych szczegółów, nieścisłych okoliczności. Nie było w nim znać wtedy żadnej radości, ani też rozumie się, żadnego wstydu. Ten człowiek szedł i działał, czy kazał innym działać na chłodno, pracował na zimno, jego czynności miały nieuchronny i równy bieg wagonów pchniętych lokomotywą na tor.

*

Człowiek chciał mi najpierw pokazać wzorowe „osiedle Mireckiego”, to co, jak mówił, dał „zwycięski polski socjalizm największemu robotniczemu miastu”. Jest to na zadrzewionych krańcach zespół kilkudziesię-

ciu dużych piaskowych bloków mieszkalnych, wybudowanych na wzór wiedeńskiego Marxhofu czy Wiener Neustadt, przenoszących robotnika polskiego z nor i suterren do kulturalnych mieszkań z łazienkami i tuszami. Człowiek pytał ludzi z administracji, kto w nich mieszka. Dowiadaliśmy się, że pod szóstym mieszka aż trzech lekarzy, pod drugim czterej urzędnicy z magistratu, pod ósmym ci z izby skarbowej. Potem człowiek poszedł sam, zaprowadził mnie do jednego z mieszkań. Była to typowo kawalerska garsonierka. Człowiek zwrócił mi uwagę na nazwiska brzmiące żydowsko, których zresztą było bardzo niewiele, i na istotną mnogość urzędników. Szliśmy ulicami spełnionej przez socjalizm obietnicy, ulicami Perla i Praussa, ulicami Mireckiego i Barona. W nazwach ulic odbijał się pobrząk żandarmskich butów na nocnej kiedyś rewizji i skrzyp szubienic. Nazwy ulic były jedynym tonem bohaterstwa i jedynym tonem proletarjackim w osiedlu imienia Montwilla-Mireckiego.

Człowiek z tego wszystkiego nie powiedział mi od siebie właściwie nic, a tylko mnie nato wszystko celowo, systematycznie, naprowadzał. Świat robotniczy nie doszedł do swej ziemi obiecanej, albo zastał ją przez innych zajętą. Naprawdę świat robotniczy się wycofał. Oto hałdami przeszliśmy kilkaset kroków do położonej w dole Starej Mani. Tu są domy niesymetryczne, źle sklecone, tandetne. Człowiek pokazywał mi przed chwilą surowy dostatek mirecczyny, niebieskie

„pergole” na dziedzińcach, ale też obdrapane ich belki, podeptane klomby ogródków bezpieczeństwa, niczych bo wspólnych. Stara Mania jest dzielnicą robotniczą biedną, ale nie nędzarską jeszcze. Liche domki otaczają wypielęgowane ogródki, bielone wapnem płoty ulic brzmiących wiejsko i sielsko: Jarzynowa, Grochowa, Solec. Za naszymi plecami wznoszą się nad tem wszystkim bloki minionego już osiedla „robotniczego”, które robotnicy oglądają od Starej Mani. Bloki wyglądają imponująco, jak wysoki mur zamczyska. Stąd widać jak nad płaskimi dachami osiedla sterczy cała gęstwa antenowych prętów. Drutami idącemi do tych prętów powiązane jest osiedle z wielkimi falami płynącemi przez eter. Temi prętami osiedle Mireckiego łowi codziennie Berlin, Moskwę, Warszawę, Londyn, Paryż i świat. Może zresztą łowi najczęściej „wesołą falę” i muzykę z płyt. Nad domkami Starej Mani nie ma żadnych anten i drutów. Jej ludzie chwytają tylko te prądy podziemne, dla których nie trzeba selektorów czy anten.

Kiedyś oglądałem prawzór łódzkiego osiedla, wiedeńskie domy robotnicze, wystawione innemu proletariatu, który chciał socjalizmu bez sowietów. Murv tych domów głośiły dumnie, że zbudowała je, za podatek od kamienic, Gemeinde Wien. Socjaliści jeszcze rządzili w Wiedniu, ale w wielkim pierścieniu osiedli robotniczych odwiedzałem już wtedy inteligentów, urzędników, pracowników prywatnych. Potem ogląda-

łem w Warszawie wielki postępowy blok mieszkań robotniczych. Odwiedzałem w nim jednak nie zecera, ale urzędnika, dla ścisłości urzędnika ministerstwa spraw zagranicznych. Osiedle Mireckiego dzieli los swoich braci rodzonych i cudzoziemskich. Eldorado kalkulowano na inne place robotnicze, place, które nie przyszły lub odeszły. Do pustych domów wlała się szeroka fala spauperyzowanych inteligentów, którzy te stawki komornego mogli przecież płacić.

– Tu pan miał socjalizm.

Uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Tu mam dziecięcą chorobę socjalizmu, pierwszy na czworakach jeszcze, stawiany krok. Mam niepowodzenie, ale nie klęskę. Pan sam wie, że nie klęskę. Pan widział w Łodzi pierwszy maja i pan widział was trzeci maja.

Pierwszego maja w Łodzi demonstrowały olbrzymie masy ludzi. Trzeciego maja przejście pochodu nie trwało dłużej niż trzy kwadranse. Trzeba pamiętać, że w Łodzi mierzy się corocznie w tych dniach siła namiętności dwóch ruchów: socjalizmu i nacjonalizmu.

Człowiek patrzył się na mnie spokojnie i powiedział, że wie. Widział. Ale to nic nie znaczy.

– Jakto to nic nie znaczy?

– To nic nie znaczy, proszę pana, i nic nie znaczy z bardzo wielu przyczyn. To nie był pochód polski. Nie chodzi mi o to, że to był pochód żydowski, i tego też

panu, jako najważniejsze, nie powiem. To był pochód sowiecki. Oto co.

– Dlaczego sowiecki?

– To był pochód sowiecki, bo wszystkie hasła, jakie w tym pochodzie niesiono, były hasłami sowieckimi „Front Ludowy”. Pan pamięta, jak oni się kiedyś żarli? Plakaty na cześć Z. S.R. R. Na cześć Hiszpanji Przeciw Niemcom. Na cześć czerwonej Francji. Przeciw Włochom. Portrety Lenina, Róży Luksemburg, Largo Caballera.

– Były to hasła robotnicze i oświatowe.

– Właśnie. Jakby pan się temi rzeczami zajmował, toby pan wiedział, że każdy ruch polityczny ma dwie serje haseł. Ma hasła klasowe, społeczne, odpowiadające najprostszym interesom życiowym tych, których chce pozyskać, ma hasła polityczne, które ma dla siebie. „Wspaniały, imponujący” pochód pierwszomajowy w Łodzi miał za hasła polityczne, wszystkie polityczne hasła sowieckie. I to jest najważniejsze. A to, czy ludzie, którzy nieśli te transparenty, należą do „fraków” czy „pepesowców”, to w rezultacie jest wszystko jedno. To są ludzie, którzy już dziś, jak te radja, grają melodię stamtąd.

– Tem gorzej.

Człowiek powiedział, że nie, że tem lepiej. Potem długo mówił. Nakreślił krótki szkic politycznych dziejów Łodzi. Ognisko socjaldemokracji sprzed wojny, czysto klasowego przeciwniepodległościowego ruchu

robotniczego. Ciężka sytuacja P.P.S. Człowiek twierdzi, że znajdzie mi ludzi co mi opowiedzą, że gdy Piłsudski kiedyś tu przed wojną przemawiał wyśmiewano go. Po wojnie odrodzenie P.P.S. Leaderzy socjaldemokracji (S.D.K.P. i L.) odeszli do Rosji. Komunizm podziemny, nielegalny. Socjaliści budują swoje mirecczyny. Potem nowe nadzieje związane z przewrotem majowym. Socjaliści w pierwszym szeregu. Potem zawód i wstrząs, ale jeszcze „słabizny nadziei” we „frakach”. Potem kryzys, obrona podstawowych warunków bytu. P.P.S. bardzo silnie rozwalana zzewnątrz... P.P.S. podminowana przez komunistów, albo raczej nie, przez własnych młodych. „Oni lepiej znają Marxa niż dawni” – powiedział mi. Aż wreszcie wielkie zmiany 1935 r., zmiany, które przysły wtedy i wtedy otwarły perspektywy dużo większych jeszcze zmian, gdy jednocześnie do wszystkich form dawnego socjalistycznego polskiego ruchu zapanowało kompletne rozczarowanie...

Wtedy dodał uwagę: „Polskiego politycznie. O tyle, że wiązał się naprawdę z państwem polskim. Żydów w nim było dużo, to druga rzecz...”

– ... i tak widzi pan – kończył. – Pierwszy maja był bardzo wielki i bardzo imponujący. Był to pierwszy maja tak sowiecki jak nie był w parę lat po wojnie samej, gdy szczątki dawnej S.D.K.P. i L. posiadały tu siły. A to że był sowiecki, decyduje w Polsce o jego przyszłości.

– Wasz trzeci maja był słaby. Urządziliście go pod hasłem antysemityzmu. Wasza większość w wyborach do samorządu rozchwiała się ostatecznie. Dziś jej nie macie.

– Tak, – powiedział człowiek, – nasz trzeci maja był słabszy. Nasze zwycięstwo samorządowe zostało niewyżyskane i załamało się. To była nasza wina.

– Dlaczego?

– To była nasza wina. Ludzie, wysunięci przez nas, byli wybrani do rady miejskiej przez ludzi młodych, którzy na nich agitowali, przez ludzi biednych, którzy na nich głosowali. Ludzie wybrani nie byli młodzi, ani proletariusze. Ludzie ci nie potrafili wykonać ani jednej rzeczy, któraby mogła im zaskarbić właśnie młodych i właśnie biednych. Naprzykład nagroda literacka. Co z tego, że jej nie dadzą Żydowi? Co z tego, że ją weźmie Rostworowski albo Weyssenhoff? Co to powie masom? Bardzo mało. Masomby powiedziało gdyby przyznać nagrodę młodemu autorowi, który opíše życie i walkę proletariatu polskiego w Łodzi, jego zmagania z zalewem żydowskim. Masomby powiedziało, żeby żadnych nagród, żadnego wyrzucania pieniędzy nie robić, a dać całą nagrodę polskim bezrobotnym, a najlepiej przeznaczyć ją na rzecz ofiar Żydów. Oto coby przemówiło do mas!

– Demagogję można stosować w czasie wyborów, ale chyba przyznacie, że nie stale.

– Nic nie przyznam! Przedewszystkiem, co to jest

demagogja?” To tak jak demokracja, z greckiego ustroju pochodzi i z nim się wiąże. To lud i to lud. Demagogja, to sposób przemawiania do ludzi tak, żeby zrozumieli, najprostszy sposób wyłożenia zawiłych zagadnień, zainteresowania ich sprawami, któremiby się inaczej nie interesowali. Bez „demagogji” robotnik pozostałby ciemny. Demagogji nie można stosować na stałe? To właśnie mówił nam jeden z naszych „mecenasów” po wyborach. On myślał, że się wszystko skończyło na świecie kiedy ruch narodowy zdobył mu w Łodzi mandat do rady miejskiej! Ładnie on się dziś ma, ten co mówił że demagogji nie można stosować na stałe. I z tą konstytucją...

Człowiek nie mówił o konstytucji Sławka. Mówił o konstytucji trzeciego maja. Był to jedyny raz w rozmowie kiedy ręce latały mu w gestykulacji:

– Proszę pana, – mówił, – trzeba zrozumieć. Trzeba zrozumieć to co w Niemczech, to co wszędzie rozumiano. W Polsce trzeba polskiego święta pracy. Trzeciego maja na święto pracy można było zamienić, póki element robotniczy, uświadomiony narodowo, to był element drobnomieszczańsko-robotniczy z różnych związków chadeckich. Gdy to był element małpujący inteligencję jak inteligencja małpowała szlachtę. Ale w całym trzecim maju, z jego królem w peruce, magnatami i francuskimi damami w łóżach, pan nie ma nic dla naszego człowieka. Nic!

Widocznie się z nim oto sprzeczano, widocznie te sło-

wa uważano za wielką herezję, że mówił to tak zapalnie. I jeszcze raz powtórzył:

– Nasz ruch nie wyzyskał ani swej niedawnej przewagi liczebnej, ani swego wyborczego zwycięstwa, i w pochodach trzeciomajowych zaznacza swój upust sił. Ale to dlatego, że między naszymi wodzami a naszymi masami, naszymi hasłami a naszymi aspiracjami, między starym elementem, który ruch narodowy miał w Łodzi, a nowym elementem, który jego kadry wypełnił, nastąpiła olbrzymia wyrwa. Tamci nie rozumieją tych.

– Na czym polega ta wyrwa? – zapytałem.

– Wyrwa, – powiedział, – to to, że narodowcem jest najpierw w Łodzi pan doktor, pan kupiec, pan mecenas. Potem idzie nowy narodowiec. Ten narodowiec to jest bezrobotny.

– Bezrobotni nie są komunistami?

Każdy w Łodzi panu powie tak: i wśród bezrobotnych są komuniści, ale olbrzymia większość bezrobotnych, polskich oczywiście, to narodowcy. Nowi narodowcy.

– Dlaczego? Kilka lat temu bezrobotni byli silnie skomunizowani.

– To prawda. Ale wtedy komuna walczyła z socjalami a nie szukała zgody. Dzisiaj jest odwrotnie.

– Jakież to może mieć wpływ na poglądy bezrobotnego? Powinien chyba czuć się bliższy drugiej części

proletariatu, która już i politycznie staje mu się bliższa obecnie.

Człowiek pomyślał chwilę.

– Czy pan wie, jakie sobie zadania stawia socjalistyczna partja wobec robotnika? – zapytał.

– Broni jego praw – powiedziałem.

– Aha, praw jego klasy. Otóż to. Ale proletariatu, to dziś nie jedna, ale dwie klasy. To klasa bezrobotnych i klasa robotników. To klasa, która ma pracę i stara się ją ochronić i lepiej opłacić. I druga, mnożąca się klasa, która pracy nie ma i pracy tej szuka. Dawniej jeszcze te dwie klasy były silniej związane: bezrobotni składali się z ludzi, którzy niegdyś byli robotnikami. To była zdeklasowana część robotników. Ale po siedmiu latach kryzysu przyszli ludzie, którzy nigdy nie mieli pracy. Niedługo, a przyjdzie zastęp dziedzicznych, z ojca na syna bezrobotnych. Bezrobotni staną przed fabrykami, gdzie pracują inni, gdzie inni biją się o krótszą dla siebie pracę i lepszy zarobek. Bezrobotni stają przed fabrykami, które strajkują, aby uzyskać lepsze warunki pracy, podczas gdy oni nie mają żadnych. Na Bałutach pracujemy po osiemnaście godzin na dobę. Czy pan sądzi, że może być mowa o wspólności interesów między takim nędzarzem a tym co chce pracować na dobę tylko sześć godzin? Ten proletariatu, który urządzi „strajki polskie”, ma za sobą zjednoczone dziś wysiłki dwóch starych partyj politycznych. Ten prole-

tarjat, który pracuje po osiemnaście godzin, jeśli wogóle pracuje, nikogo jeszcze nie ma. Prócz nas...

*

„Mob z tymi był trudny”.

Słowa te zostały powiedziane przez innych jeszcze ludzi, innych a tych samych, z którymi popołudniu byliśmy na przedmieściach. Było to to samo niedzielne popołudnie, wyszliśmy byli wbok od Bałut, staliśmy na wzgórku, mając przed sobą pola porżnięte wyrwanymi glinianek, popstrzone dachami domów. Przed nami jak pole bitwy była Łódź płaska i niska; za nami nowy kościółek Marysina. Słowa odnosiły się właśnie do ludzi z tych domów, w prawo od Bałut, między nami a zielonym zakosem toru kolejowego. Mówiąc o nich, moi rozmówcy mówili o mobilizacji. Tych ludzi zmobilizować, rzucić trzeciego maja na Piotrkowską było trudno. Ci ludzie byli bezrobotni.

Ci ludzie byli bezrobotni, i oto wielka rzecz w obrazie Łodzi, która wzbierającym ruchem nacjonalistycznym dziwi nie tylko Hemara. Obecna walka najzupełniej zrozumiała, dążąca przez umowy zbiorowe o zagwarantowanie jednolitego poziomu płac, zapewnienia wszystkim dziś pracującym pośredniej gwarancji. że i nadal pracę zachowają, ta walka jest obca a zaczyna być wroga całym masom ludzi, które my wciąż określamy terminem wspólnym dla całego „proletariatu”

tu”, a które gospodarczo, a częściowo już i politycznie, wypadły z jego ram. Istnieje wielka klasa pracujących, która dopomina się o dalsze rozszerzenie swych praw, która ponownie będzie szturmowała do osiedla Mireckiego, skąd ją wyparto, która będzie żądała więcej szkół, wyższych płac, mniej pracy, która będzie wołała o swój rząd robotniczo-włościański, jak kiedyś burżuazja chciała rządzić przez swoich ludzi. Rośnie druga klasa bez pracy i bez praw, klasa, która jeśli ma pracę, to ta praca wyjęta jest spod wszelkich ustaw socjalnych i musi być wyjęta, bo to się dzieje za zgodą samych ludzi chcących pracować, aby wogóle nie umrzeć z głodu. Wszystko toleruje tę klasę. W Łodzi istnieje przemysł anonimowy. To taki przemysł, który za gotówkę kupuje surowiec, daje go przetkać po domowemu albo w wielkiej fabryce, potem niemniej anonimowo go sprzedaje, nie płacąc żadnych podatków, żadnych świadczeń. Uskarżają się na to fabryki, bo stwarza to nierzetelną konkurencję, ale fabryki biorą od niego zamówienia, byle w czasie kryzysu utrzymać ruch. W Łodzi, podobnie, istnieje cała anonimowa klasa ludzi, bezrobotnych całkowicie, niezauważona przez socjologów, niebroniona przez polityków, nieobjęta żadną ludzką normą i żadną formą organizacji. Być może że jest to dziwaczny nowotwór społeczny, który rozplynie się w reszcie organizmu. Tak jak dziś jest jednak, jest to klasa społeczna osobna, klasa społeczna w momencie swego stawania się klasą. Jak robotnicy

przed laty pięćdziesięciu, jak mieszczaństwo rewolucji francuskiej.

„Mob z tymi ludźmi jest trudny”.

Na przedmieściach Łodzi widzi się krzyże i obrazy na drzewach. To miasto wchłonęło w siebie pola i drogi polne, kładąc domy, gdzie były łąki, pozostawiając tylko drzewa i krzyże przydrożne. Czasem na przedmieściach Warszawy widzi się to samo. W niedzielę za miastem widzieliśmy ludzi z miasta, którzy wyszli nie poto, aby się na trawie położyć bez ruchu, ale poto, aby wyjść i patrzeć długo na pole. Tego mieszczauchy, póki niema bławatków nie robią. To tylko dawny wiejski człowiek, wygnany do miasta za pracą, tak wychodzi sobie za przedmieścia popatrzeć czy dobrze wschodzi tej wiosny. Taśma ruchoma dziecinnych kolebek, jedyna w Polsce taśma, której bieg nie uległ większemu zwolnieniu, wyrzuca rotacyjnie roczniki nowych ludzi na przeludnioną wieś. W Łęczyckiem, Częstochowskiem, Kaliskiem i Łowickiem przeludnienie agrarne, brak ziemi do parcelacji wogóle dosięga szczytu. Na płaskiej ziemi widne zdaleka kominy Łodzi – ciągną. Ludzie łódzcy i wiejscy błakają się obco po ulicach wielkiego miasta, wokół fabryk, gdzie inni walczą o lepsze warunki pracy, o szkoły, o rzeczy, które dla nich będą dopiero dalekim etapem walki. „Tych ludzi zmobilizować trudno”.

Tych ludzi jeszcze teraz zmobilizować trudno. Robotnik, przyzwyczajony do wstawania na określoną

godzinę, bo go woła fabryka, stanie regularniej w pochodzie majowym, wśród kolegów z tej samej fabryki. Robotnik wdrożony jest do organizacji partyjnej, lata związków zawodowych, prasa klasowa urobiły go solidarnie i karnie. Tu „mob” nie jest tak trudny do przeprowadzenia jak „mob” ludzi ze wsi, nawykłych do pracy nie liczonej godzinami, jak „mob” rozwłóczonych bezrobotnych, ludzkiego żelaziwa rdzewiejącego z braku pracy, niezdatnego na nic. Patos „owej chwili radosnej gdy senat i posły... zgodzonego z narodem króla fetowali”, to patos bardzo obcy tej nowej klasie społecznej. Nie zdołała jeszcze przemówić, nie ma swego hymnu, swego wodza, swego ideału, swego święta, swego godła. Zapożycza to wszystko od partii mieszczańskiej i inteligenckiej, od niedawna dopiero nasycającej się tak silnie elementem ludowym. Ale wzrasta z każdym rokiem i dniem kryzysu.

Wydawaćby się mogło paradoksem, a jednak jest faktem, że dziś ustanie bezrobocia, ustanie kryzysu pracy w Polsce, likwidując bezrobotnych z urodzenia, wlałoby tę klasę spowrotem do szeregów klasy robotniczej, zasymilowało do tych ludzi, którzy w świątecznych odzieniach nieśli po Piórkowskiej oblicza Caballera i Lenina. Wzrost zatrudnienia i dobrobytu wzmógłby, nie osłabił wpływy marxizmu, wpływy komunizmu. Ruch narodowy, t. j. nacjonalistyczny, przywykliśmy widzieć po prawej stronie barykady. W Łodzi, wszędzie, gdzie bezrobocie nabrzmiewa najsilniej, wszędzie

gdzie jedni wołają o lepsze warunki pracy, inni nie mają jej wcale, nacjonalizm przelewa się na drugą stronę barykady. Klasa zorganizowana proletariatu starzeje się społecznie, jak między 1789 a 1870 zeszła się burżuazja. Nacjonalizm dzisiejszy, nacjonalizm starszych panów i młodych inteligentów, nie umie sytuacji tej należycie wyzyskać.

„My jesteście żółci ludzie z Łodzi”.

Musiano mi wytłumaczyć, co znaczą te słowa łódzkiego bezrobotnego. „Żółci ludzie” w nomenklaturze łódzkiego człowieka, to byli kulisi, marnie opłacany proletariąt chińsko-japoński, który niegdyś pracował w San Francisco, konkurując z proletariatem białym. Jak wiadomo, ci „żółci ludzie” zostali usunięci na żądanie przedstawicieli partyj robotniczych. Ten, co mi to mówił nie miał żadnych zainteresowań politycznych. Był kiedyś we Francji i wiedział, że tam robotnik polski czy włoski jest także „żółtym ludem” i że zgoła go nie bronią, a raczej dążą do jego usunięcia francuskie partje robotnicze. Spotykał się z westfalakami i saskami, spotykał z wracającymi z Danii i wiedział, że wszędzie robotnik polski jest „żółtym ludem” i wszędzie go wydalają. „Żółty człowiek” teraz jest w Łodzi. Tu dalej jest „żółtym człowiekiem”. Chodzi wokół fabryk nie dla niego, pracy nie dla niego, praw nie dla niego, organizacyj nie dla niego. Zwolna zaczynają się w nim budzić przebłyski, że jest osobną, inną klasą. I ze swego nędzarskiego niżu może, on jeden w Polsce,

patrzeć z drwiącym uśmiechem na tych co o sobie śpiewają w pochodzie: „Wyklęty powstań ludu ziemi”... On może zapytać: „Kto tu bardziej ode mnie wyklęty?”.

Polityka partyj robotniczych, najzupełniej klasowo słuszną, umacniając pozycje pracującego proletariatu, pogłębia, betonuje nowymi prawami, rów między dwiema częściami ludu. Każda nowa zdobycz ten rów pogłębia. Ku proletariatowi zorganizowanemu i mającemu pracę wyciągają dziś ręce inteligencji, pracownicy umysłowi, pragnący, aby i dla nich scementował ich prawa, umocnił pozycje, zachował posady. Otóż to. Jest to dziś działalność przede wszystkim obrończa i zachowawcza, konserwatywna. Tym, którzy niczego nie mają, którzy znajdują się w sytuacji proletariatu z 1848 r., może odpowiadać tylko polityka zdobywcza, burząca, rewolucyjna. To nie oni będą kroczyli w pochodach. Ale tylko oni będą rzucali bomby.

*

Człowiek, który mi Łódź pokazał, poprowadził mnie na sam dworzec, wszedł na peron. Myślę, że kiedyś jechałem z komunistą rosyjskim przez Rosję, który mówił mi, że jest w Polsce miejsce święte świętych rewolucji komunistycznej, ojczyzna męczennicy Róży Luksemburg, kraj bohaterów 1905 r. – Łódź. Nigdy mi w Polsce nikt nie mówił z takim ciepłem o Łodzi

co człowiek w pociągu Kursk-Moskwa. W Z. S. R. R. pisze się o tej Łodzi wiersze. A oto teraz nie wiem, kto bliższy jest dzisiejszej prawdzie Łodzi, oni czy ten człowiek, który stoi przed oknem wagonu i mówi mi coś jeszcze, jeszcze i jeszcze. Że jego ruch się dźwiga, że jego ruch te masy wyzutyh ze wszystkiego ujmie w cembrowinę organizacji, że z nich czerpie dziś swe kadry, że niemi walczy, że nic go nie złamie, że od Łodzi zacznie, że ma wieść. Myślę, że Łódź jest jak te świątynie, którym ręka zdobywcy może zamienić Ewangelię na Koran, krzyże na – półksiężycy, a w miejsce strącanych sierpów i młotów, nowe, nieznane nam jeszcze, postawić godła.

PRZYTYK I STRAGAN

Na środek sali, w czworokąt zamknięty z jednej strony długim stołem sędziów, z dwóch – pulpitemi obrońców, z czwartej – granatowym policjantem, wychodzi kolejno 57 ludzi, określanych jako oskarżeni, kilkuset, przeszło pięciuset, określanych w aktach mianem świadków. Ale proces nie robi prawie wrażenia procesu, sąd nie przypomina zwykłego sądu. To jakby do laboratorium wielkiej wytwórni filmowej przyniesiono kilkaset różnych fotograficznych wersji tego samego wydarzenia i rozwijano je tu po wywołaniu, badając, naświetlając i krając. Szklą obiektywów nie zatonczyły jednak szerokiego kręgu po świecie. Przez trzy tygodnie będziemy deptali na bardzo małym odcinku, po rynku targowym miasteczka, po jego głównej ulicy, jej jezdni, przedmieściu tego miasteczka, po moście nad rzeką Radomką, przy młynie Haberberga, przy straganach i szynkach. Ludzie w togach sędziów, prokuratorów i obrońców będą przez trzy tygodnie brali pod światło każdy odcinek taśmy filmowej, badali jego szczegóły, konfrontowali z wersjami innych operatorów. Ale z tego wszystkiego nie wysnuje się żadna

wielka, równy nurt tocząca, rozwijająca się stanowczym rytmem, akcja wielkiego filmu. Strzępy różnych operatorów, taśmy wyjęte z różnych aparatów, nasświetlane pod różnym kątem różnych jupiterów, w jedną całość zestawić się nie dadzą. Na końcu całej pracy obraz wypadnie taki jakby tą samą błoną fotografowano te same rzeczy dwa razy, trzy, cztery razy. Czarne cienie pojawią się na całych zwojach taśmy. Momenty będą się z nich tylko wynurzały nagle, ostremi konturami wydarzeń. Więc będziemy widzieli parobczaka, którego z rąk policji, gdy namawia do bojkotu, wyzwolił tłum, i będziemy zaraz potem widzieli ten sam jarmarczny tłum chłopski, blokujący w małym domu posterunek policji. Będziemy widzieli człowieka, który z piętrowego poddasza wysuwa rękę, będziemy widzieli w tej ręce rewolwer, usłyszymy strzały, upadnie na jezdni chłop. Pokaże się naraz jakiś samochód—widmo miotający strzałami, samochód, którego na żadnym innym filmie już nie będzie. Potem film stanie się na chwilę straszliwie wyraźny: będziemy wtedy w niskich izbach żydowskiego domu, ramy jego okien ugną się pod ciężarem kamieni, troje małych, wystraszonych dzieci będzie wyciąganych za nogi, włosy i główki spod nędznego łóżka, zamachną się nad nimi ciężkie chłopskie orczyki.. W ciasnym przedsionku będzie ciemno, i znowu nie zobaczymy twarzy ludzi którzy pałkami będą miażdżyli podstawę czaszki, kość ciemieniową, żyłkowaną błękitnie wypukliznę skroni

biednego żydowskiego szewca. Na chwilę film się urwie zupełnie, i potem wpłyniemy już na strugi taśmy nakręcaniej przez rutynowanych operatorów: to już opisy policyjne, sprawozdania lekarza sądowego, oględziny zwłok i relacje przybyłych z Radomia urzędników. Wtedy znowu poprzez rozdartą chłopską koszulę wysondujemy głęboką, równą ranę, jaką przeorała padająca z góry kula suche ciało starego Wieśniaka. Wtedy jeszcze raz podniosą nam zmiażdżoną i domiażdżoną pałkami po śmierci, głowę Joska Minkowskiego, każą się wpatrzeć w to co pozostało z rozbitej orczykami od wozów i przesieczonej nożem czy ostrzem chłopskiej kosy głowy Chai Minkowskiej. Ale tego wszystkiego co było *przedtem* nikt tak jak było nie przedstawi. Po trzech tygodniach nie da się nawet ustalić, w jakim porządku należy zlepić poszczególne fragmenty straszliwego filmu, jak następowały po sobie kolejno zajścia z bojkotującym Strzałkowskim i aresztującą go policją, walka i rozgrom na rynku przytyckim, wreszcie wypadki za rzeką. W motywach wyroku sąd będzie musiał coraz to powtarzać słowa: „nie dało się ustalić”. Mimo 57 oskarżonych, mimo dwudziestu adwokatów, mimo kilkuset świadków i trzech tygodni pracy. Sąd będzie musiał odmawiać wiary zeznaniom świadków, prokurator będzie musiał nieprawdziwość tych zeznań imiennie potępiać. A jednak, mimo zakłęb, powoływań na tę świętość przysięgi, na kary prawne, na poczucie słuszności, ogromna ilość świadków będzie

składała zeznania sprzeczne z sobą, wikłające się, fantastyczne. Tłum będzie się solidaryzował nie z prawem przysięgi, prawdziwego świadectwa i kar za krzywoprzysięstwo. Będzie się solidaryzował z ławą oskarżonych, a raczej z dwiema ławami oskarżonych.

Na ławach obrońców o zajścia w miasteczku, o którym do dn. 9 marca 1936 r. mało kto wiedział gdzie leży, zasiadły największe sławy adwokatury polskiej, ludzie znani z procesów głośnych, sensacyjnych, dramatycznych i efektownych. Broni wielki obrońca w procesach roku 1905 i brzeskim, Leon Berenson. Nie można sobie jednak wyobrazić przewodu, któryby mniej niż obecny przypominał tok akcji scenicznego dramatu. Nie można sobie przypomnieć procesu, któryby w swej tragicznej grozie był tak mało efektowny. Każdemu z oskarżonych zagrażają pytania adwokatów, podstępne, szukające. Być może, że to ten właśnie człowiek jest bohaterem zająć, być może, że to ten obok jest ich złym duchem, jest Jakóbem Szelą nowego chłopca, jest Shylockiem i Przechrztą Przytyka. Reflektor pytań przenosi się z zaciętej, kałmuckiej, muzyckiej twarzy młodego Wójcika na bladą ze zmrużonymi oczami, skrytą twarz Leski, ślizga się po barach tego chłopca o zagłobowskim wyglądzie, po czarnej brodzie Haberberga. Po kilku dniach zmęczone reflektory gaszą swe światła. W tym procesie, wśród tych 57 ludzi, wśród tych kilkuset świadków, z których mało który może się zrozumiale wypowiedzieć przed sądem, nie

ma żadnych tragicznych, wielkich, bohaterskich czy zbrodniczych postaci. Niema żadnych potężnych ludzi – sprężyn działających z ukrycia. Było w Polsce obecnej wiele okolic, gdzie agitacja antysemita miała więcej i lepszych agitatorów, gdzie teren był wcześniej i znacznie silniej objęty działaniem Stronnictwa Narodowego niż okolica Przytyka. Korczak, osławiony „wojewoda przytycki”, jest zwykłym, przeciętnym chłopem. To co mówi, mówi po chłopsku, jego sposób argumentowania jest chłopski, jego słownictwo jest chłopskie, jego środowisko jest środowiskiem chłopca – „biedniaka”, o marnej glebie, dorabiającego się poddzierżawianiem ziemi innych, jakimiś nadziejami na zbycie tu czy tam dochowanego konia, dalekimi marzeniami o własnym handlu wapnem. Jedno co można jeszcze powiedzieć o tym człowieku, z którego prasa żydowska robiła spiritus movens zająć, wodza hord przytyckich, radomskiego Hitlera, grozbę dla rządu w Warszawie, o tym człowieku, który mieł w rozmowie kanony polskiego antysemityzmu, to to, że bliżej od innych chłopów zżył się ze światem miasteczka. Oni bywali w niem raz na tydzień, on – co dzień. Być może że nieraz słuchał gdzieś radja, być może, że częściej rozmawiał z ludźmi szerokiego świata, być może, że częściej mógł czytać gazetę. Iskra, którą stał się ten człowiek w wydarzeniach radomskich, była przypadkowa. Prochy, które tutaj leżały, mogły się zająć od ogarka.

Bo oto jeszcze jedno zdjęcie filmowe musi sobie uzupełnić reporter, jeszcze z jednej strony, on, którego wynik procesowy, sądowy, proceduralny, nic nie obchodzi, który tutaj widzi tylko pewien przekrój sprawy żydowskiej w Polsce, musi na to spojrzeć. Ogromna większość ławy oskarżonych, i polskiej i żydowskiej, to ludzie młodzi. O ludziach młodych mówi się, że są najczulszymi membranami, jeśli chodzi o wchłanianie płynących w eterze ich dni, niewidzialnych dla oka prądów, że wiek, dojrzałość, rodzina i praca nie stępily jeszcze aktualności ich politycznego sluchu. Wreszcie ci młodzi ludzie, Polacy, są chłopi, i nietylko chłopi. Są to małorolni i bezrolni, synowie licznych rodzin dziedzice rozdrobnionych na płachetki gruntu gospodarstw. Gdyby ci ludzie chcieli pisać, mogliby do „Pamiętników chłopów” dodać nowe wstrząsające karty. To niewątpliwy, klasyczny proletarijat wsi polskiej, kraju, którego przeludnienie agrarne i nędza wsi nie mają sobie równych w całej reszcie Europy. Wreszcie jest to proletarijat wiejski nie spod Baranowicz i Równego, ale dobrze za Wisłą, proletarijat z owej szczęśliwszej połowy Polski, z owej „Polski A” ministra Kwiatkowskiego. O 19 km stąd jest socjalistyczny Radom, o sto kilkadziesiąt kilometrów Poznańskie, polska Danja, gospodarcza oaza. Oskarżeni umieją czytać i pisać, byli w szkole. Oskarżeni należeli do partyj politycznych, bojkotowali nietylko żydowski stragan, ale

jeszcze ordynację zacieśniającą prawa wyborcze. Ci właśnie oskarżeni zrobili Przytyk.

Nie jest to wcale obojętne, nieważne, przypadkowe, że największy proces o zaburzenia antysemickie, jaki mieliśmy dotąd, jest procesem chłopskim, nie procesem chłopów „kułaków”, zamożnych gospodarzy wiejskich, ale procesem młodej wsi małorolnej i bezrolnej, ludzi, którzy w dwudziestym którymś roku życia widzą, że zabraknie im ojcowskich morgów. Fornalscy bohaterzy „Ojczyzny” Wandy Wasilewskiej pytali co im dała Polska za lata wojny o niepodległość, żądali jako zapłaty socjalizmu. Przed zablokowanym posterunkiem w Przytyku wołali inni chłopi, żołnierze armji ochotniczej z 1920 r., co im dała Polska, choć żądana przez nich zapłata przedstawiała się inaczej niż okrzyk z głośnej powieści. Sąd nie zdołał ustalić pod czyjemi rąkami zginęła w straszliwy sposób zamordowana para żydowskich przytyckich biedaków. Ale to dłonie chłopskie puściły w ruch orczyki i kamienie, pałki i noże. Wieśniak mógł nie paść z ręki Leski, padł od innych żydowskich strzałów. Nawprost nas, z filmu, rzucanego na ekrany prasowe całej Polski, maszerują nie Leska, Haberberg, Banda, Wójcik, Kubiak, to nietylko świadek Snopek powie o pogromie z uciechą: „a było czemu się przyglądać”. To nawprost nas, tak jak o trzeciej popołudniu, gdy zaalarmowani wieściami z miasteczka chłopi śpiesznie zawrócili konie, aby iść „bronić swoich”, wali ogromny tłum chłopski. Bohaterem,

winnym, oskarżonym i oskarżycielem jest tłum tego procesu, i szukając tego tłumy, trzeba pójść między domy żydowskie Przytyka, pójść do Potworowa, pójść na wieś.

*

– A przed owym bojkotem czy Żydzi dużo targowali? – pyta każdego Żyda obrońca enedecki, mec. Kowalski.

– Targowali – odpowiada Żyd.

– No a ile przedtem bywało tak straganów żydowskich w dniu targu?

– Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt.

– Osiemdziesiąt – podkreśla za każdym razem mecenas. – No, a gdy już był bojkot, tak przed 9 marca i 9 marca rano, przed rozruchami, ile było straganów żydowskich?

– Żydowskich – mówi Żyd – mogło być osiem, dziesięć.

– Osiem, dziesięć – powtarza Kowalski. – No a chłopskich ile?

– Sześćdziesiąt – mówi Żyd.

– Sześćdziesiąt upewnia się Kowalski. – No a dawniej bywały chłopskie stragany?

– Nie bywało – odpowiada Żyd.

– Nie bywało, więc przedtem nie bywało chłopskich

straganów – powtarza sam do siebie mecenas. – A teraz po bojkocie są.

I taka rozmowa, nic nie mająca wspólnego z procesową stroną sprawy, stanowi leitmotiv, oprzędzany przez obronę chłopów dookoła każdego świadka. Taktyka obrońców polega na dwóch rzeczach: z jednej strony broni każdego z oskarżonych przed zarzutami gwałtu i terroru, z drugiej – podnosi gospodarcze powodzenie akcji bojkotowej, która po upływie kilku tygodni postawiła tłum żydowski przed widmem wygłodzenia i nędzy. Nie wiemy czy ta akcja ulżyła niedoli wsi polskiej, nie wiemy czy posiadała ona charakter trwały, czy zakorzeniała chłopą w miasteczku i przeprowadzała go istotnie od pługa do stragana, jednak jest oczywiste i pewne, że akcja ta niszczyła, rujnowała ekonomicznie parę tysięcy Żydów zamieszkających w Przytyku. Trzeba tam być. Jest to miasteczko w 90 procentach żydowskie i jest to chyba jedno z najnędźniejszych miasteczek jakie po długich wędrówkach po nędzarskich kresach udało mi się widzieć. W „wojnie przytyckiej”, w pogromie, w „poruchu”, który tu się odbył, brały udział dwie strony narodów. Ktoś co tu przyjedzie, będzie się dziwił czego szukać mogli chłopci w żydowskim Przytyku, czego zazdrościli ludziom z tych wykrzywionych lepianek. I nie tylko temu będzie się ten ktoś obcy, do dna spraw tych nie znający, dziwił.

Na początku tego co się tu stało dn. 9 marca, był

bojkot gospodarczy, zorganizowany przez chłopów przeciw żydowskiemu miasteczku. Początkiem walki, która skończyła się śmiercią Wieśniaka i trupami Minkowskich, była walka o stragan. Nie o sklep, ale właśnie o stragan. Żydowska ludność żyje z handlu. Aristokracja tego narodu zasiada w wielkich bankach, klasa średnia zasiada w sklepach, proletarjat ma stragan. Stragan rynkowy został zaatakowany przez chłopstwo, przez masę ludzką podnoszącą się ze wsi. Stragan rynkowy po bardzo krótkim czasie został w Przytyku zdobyty.

To są znowu rzeczy, które w Polsce trudno zrozumieć. Wszyscyśmy przywykli, uważamy za naturalne zrozumiałe i uprawnione dążenie chłopów do parcelacji ziem obszarniczych, do zabrania nawet bez odszkodowania ziemi pańskiej, gruntów folwarcznych. Wszyscy w mieście jesteśmy przekonani, że fala niechęci chłopskiej podmywa kolumny dworów, że co ważniejsze, z olbrzymią i radykalną parcelacją odciągnie się chłop od komunizmu czy od Witosa, zdobędzie dla Składkowskiego czy Grażyńskiego. Ale oto procesy o bunt chłopskie z lat ubiegłych, procesy o Łapanów, o Lisko, o Tarnów, pokazywały chłopów w walce z podatkami i szarwarkiem, ze starostą, komornikiem, policjantem. Ale oto procesy obecne pokazują go nam w zmaganiu z nędzarskim szewcem Minkowskim, z Ickiem Bandą, z żydowskim straganem z jajami,

perkalikami czy czapkami. Chłop, bez odszkodowania, wywłaszcza żydowski stragan. Dlaczego?

Żeby zrozumieć dlaczego, można zrobić trzy kolejne doświadczenia. Można najpierw przeczytać „Pamiętniki chłopów”; – jeśli będziemy je czytali inteligentnie, zobaczymy, że miejsce, jakie t. zw. dwór zajmuje w dzisiejszej wsi polskiej w jej nędzy, w jej nadziejach, jest niesłychanie małe; na setnej którejś tam stronie spotykamy dopiero słowo „dwór”, dla tysięcy wsi i setek tysięcy chłopów jest to zjawisko odsuwające się w egzotykę. Możemy następnie przelecieć samolotem nad Polską; będziemy mogli z lotu ptaka od Czerniowiec do Gdańska i od Wilna do Katowic szukać daremnie tych latyfundjów, bezmiernych obszarów, nie kończących się pańskich łąnów; Polska z lotu ptaka, to pokrajana szachownica sznurkowych zagonów. Możemy wreszcie, aby zrozumieć tragedję przytycką, sięgnąć do książek Józefa Poniatowskiego i Theodora Oberländera, poświęconych przeludnieniu agrarnemu Polski. Powiedzą nam one najpierw, że nawet z melioracją całego zapasu nieużytków zapas ziemi do parcelacji wyniesie w najlepszym razie 3.000.000 hektarów. Gdyby zrobić jeszcze radykalniejsze posunięcia, możnaby, zdaniem Poniatowskiego, uzyskać jeszcze 600.000 hektarów. Na tym maksymalnym zapasie możnaby osadzić 600.000 nowych sześćhektarowych gospodarstw. Roczny przyrost ludności w Polsce, w większości swej rolniczy, wynosi 400.000. Nadmiar

ludności rolniczej oblicza dziś Poniatowski na 9.000.000. Wedle Oberländera, zapas ziemi dostępny dla kolonizacji pójdzie niemal w całości na upelnorolenie małorolnych? A bezrolni, a mnożące się królicze pokolenia naszej wsi? Wychodźstwo sezonowe i stała emigracja skończyły się niemal zupełnie. Uprzemysłowienia niema. Zaczynają się Przytyki.

Walka o stragan zaczyna się nie dlatego, że przy straganach może się pomieścić bezrobocie wiejskie. Zaczyna się to dlatego, że dokądindziej nie można iść, drogi są zamknięte, ziemi brak, że założenie nowego gospodarstwa nawet gdyby się miało ziemię, kosztuje wiele, że stragan jest najbliższy, najbardziej dostępny, najszybciej odrzucający zyski. Ten stragan także niczemu nie pomoże, ludności bez pracy nie wchłonie. Bedzie stanowił ulgę większą, ale nie zupełną. Ale handlarz dla wsi dzisiejszej, to bogacz posiadający u siebie skarb z cukrem, naftą, zapalkami, żelazem. Tylko dla nas, patrzących zgóry, ten handeles jest istotnie nędzarzem. Dla chłopca, to człowiek, o którym z lamentem słyszymy w sadzie, że zarabia kilkadziesiąt złotych dziennie. Chłop byłby szczęśliwy gdyby zarabiał ich kilkanaście. Ten człowiek w jarmulce żywi się śledziami i kartoflami, ale ten drugi człowiek w kożuchu żywi się tylko kartoflami. Prostu, element o stopie życiowej niższej nawet od żydowskiego ghetta, ghetto to podważa.

I znowu nie byłoby nic bardziej naturalnego. Prostu dokonywałby się w Polsce proces, który o sto lub

kilkadziesiąt lat wcześniej dokonał się wszędzie na Zachodzie w konserwatywnej Anglii, jak w republikańskiej Francji, w Niemczech, Austrii, Danji, Czechosłowacji: uregulowanie sprawy agrarnej przetrząsało zawsze masy ludności wiejskiej do miast i miasteczek. W ten sposób czeszczył się Karlsbad i Praga, słoweńczyła Lublana, w ten sposób wreszcie polszczyły się miasta i miasteczka Poznańskiego. Tylko to wszystko odbywało się gdzieindziej wcześniej i odbywało się bez Przytyków. Nadmiernemu rozrodzeniu się ludności wiejskiej i przeludnieniu wsi towarzyszyła bowiem wszędzie konjunktura na rozwój przemysłu. To nie tylko kurczyły się morgi wsi, to jeszcze otwierały się fabryki w mieście. Ludność małomiasteczkowa, handlowa, przechodziła kolejno od straganu do sklepu, od sklepu do kapitału, od kapitału do przemysłu. Ten ruch nie tylko opróżniał placówki handlowe w miasteczkach, ale jeszcze tworzył nowe warsztaty pracy, otwierając fabryki. U nas rozwój przemysłu jest zahamowany, stoi. W latach konjunktury roczny wzrost zatrudnienia był minimalny w porównaniu z rosnącą od dołu masą rąk do pracy. Nędzarska rzesza Minkowskich, Lesków i Bandów nie przejdzie do sklepów radomskich. Właściciel młyna Haberberg nie zbuduje wielkiej fabryki, nie zatrudni w niej tysięcy Strzałkowskich, Wójcików, Kubiaków. Nie stanie się w drugim pokoleniu Kronenbergiem czy Blochem. Człowiek ze wsi, którego by wtedy zatrudnił, stanie się teraz jego konkurentem.

Będzie brutalnie, niby to chcąc kupować, macał brudnymi spoconymi rękoma wszystkie bułki leżące na straganie. Zrzuci mu z lady czapki do błota. Odpędzi kupujących od niego. Będzie go wygladzał. Zabije.

Ale Żyd przytycki nie tylko nie zamieni swego małego handelku na nowoczesny sklep w samym Radomiu, nie zamieni warsztatu na zakład, młyna na fabryczkę. On nie tylko nie może pójść wyżej, on wogóle nie ma dokąd pójść. Przed wojną był rozwój przemysłu, dziś nowe kominy dymiące dziesiątkami w Radomiu i „trójkacie bezpieczeństwa”, to dymy fabryk państwowych. Przed wojną była emigracja, dziś jej nie ma. Organizacje sjonistyczne otworzyły Palestynę Żydom z Niemiec, zamknęły ją niemal przed Żydami z Polski. Jeśli myślicie że po Przytyku Żydzi odjadą, dowieźcie się, że po tem wszystkim co tu zaszło wyjechała do Palestyny jedna osoba. Jeśli wskazujecie na przykład Poznańskiego, pamiętajcie, że w Poznańskim nie było Przytyków, Mińsków Mazowieckich, Grodnów, które od dołu, widmem pogromów usuwały Żydów. W Poznańskim unosił się nad ghettem miraż Berlina, wielkiego, świętego Berlina, Berlina asymilacji i zamożności. Przed wojną i po wojnie tysiące Żydów z Poznańskiego emigrowało w głąb Niemiec. Miraż działał silniej niż widmo. Ale w dzisiejszych warunkach Żydzi przytyccy mogą iść tylko na kirkut.

Pisze się to wszystko poto, aby wyłożyć pewien problem, szerszy niż sprawa przytycka służąca nam za jego

przekrój. Trzeba na zimno stwierdzić jakie możliwości ma dzisiejsza wieś, jakie się sprzed niej usunęły, jakie ją skolei zwodzą. Mierosławski miał widzieć przyszłość Polski w powieszeniu na kiskach ostatniego szlachcica, ostatniego biskupa. Być może, że na zebraniach u Korczaka jakiś doktryner wiejski mówił, że nie będzie szczęścia w Polsce póki na kiskach ostatniego Żyda nie powiesi się ostatniego komornika. Albowiem demagogja jest zawsze ta sama, tylko czasami opuszcza wyżłobiona już zupełnie koryta i szuka nowych.

Ruchowi, który szedł przez Opoczyńskie i Radomskie, nie przeciwstawiła się – trzeba to jeszcze zauważyć – żadna siła. Był tylko policjant. Nie było inteligenta. Nie było nauczyciela wiejskiego. A przecież wieś przytyckie mają nauczycieli i szkoły, przecież Przytyk ma nauczyciela. Widzieliśmy jednego z nich przed sądem w raczej smutnej w tem wszystkim roli. Szkoła w Przytyku dzisiejszym, to miejsce zacieklej walk nienawiści dzieci. Małe Korczaki i mali Minkowscy walczą w najlepsze. Nienawiść z ulicy przenosi się na ławę szkolną. Rozlewa się szeroko po całym kraju. Nie natrafia na żadną tamę. Nie natrafia też na żaden kanał, który tę burzę, nie z agitacji powstałą lecz z nędzy, skierowałby w kanały pożyteczne, twórcze, konstruktywne. Ci czy tamci chcą w niej widzieć tylko zaczyn dla przyszłej rewolucji, krwawą falę, która poniesie ich sztandary.

KRAJ POLSKI CHŁOPSKI

Jest dobrze po północy, gdy nad naszemi głowami, w mokrem i gorącym powietrzu chwieje się swemi wielkimi wachlarzami las olbrzymich palm. Oddychamy czemś duszającym, usypiającem, pełnem nieznanym dla nas zapachów. Gdyby jeszcze pogasły lampy elektryczne i była pełnia, księżyc przyświecałby teraz tą pełnią nad palmowym gajem, wyrosłym w środku Poznania. Moglibyśmy tak chodzić a nawet błądzić poprzez wąskie ścieżki, wśród egzotycznych krzewów, ocierać się o lżany z lasów dziewiczych, szeleścić kłosami płowego ryżu, ale nie poto nas tutaj zabrano; i oto dziś, tego wieczoru, może zaraz, najdalej za godzinę, zakwitnie na środku podzwrotnikowej sadzawki olbrzymi kielich Victoria Regia. Właśnie kołysze się na wodzie sennej i martwej jak powietrze, otoczony kęgamii swych olbrzymich nenufarowych liści, o brzegach zagiętych do góry jak brzegi wielkich zielonych patelni. Jest w tej chwili dużym jak mała dynia pękiem, prześwieca białem różowemi szparami kwiatu. Wszystkie sale wspaniałej poznańskiej palniarni oddychają w nocy silną wo-

nią tropikalnych gajów. W najskrytszym mateczniku tego lasu Victoria Regia zakwitnie naraz jakby to był nie Poznań, ale zalewy rzeki Ukajali, i poznaniacy nie chcą, abyście stracili moment narodzin cudownego kwiatu. Niestety, Victoria Regia nie chce zakwitnąć, a poznaniacy także nie chcą ustąpić. Siedzimy przy czarnej kawie pół godziny, godzinę, dwie godziny. Rozchodzimy się po cienistych ścieżkach olbrzymiej szklarni-pałacu. Poznaniacy są najwidoczniej zażenowani, że zakwitnięcie Victorii Regii w obecności gości z Warszawy nie dało się wyreżyserować.

Przez kilka dni od samego rana do późnej nocy wielki turystyczny autocar przerzuca nas do coraz to innych miejscowości Poznańskiego. Pokazują nam nowe fabryki, które „centrala” chce przenieść do Warszawy, pokazują nam muzeum etnograficzne w Śremie, urządzone przez amatora, miejscowego restauratora, zaskwestrowane przez izbę skarbową z tytułu niepłacenia podatków. Opowiadają nam dzieje starosty powiatowego, którego wicewojewoda nie zastał kiedyś w biurze, ale zato „odnalazł go bez trudu na miejscowej plaży; starostę przeniesiono na kresy” – kończy się sentencjonalnie opowiadanie. Wiemy teraz jakie jest przeznaczenie kresów. Pokazują nam fabrykę cukru i osiedla dla bezrobotnych, warsztaty fabryki „Stomil” i ogród pałacu Działyńskich. Przez kratę pałacową widzimy zamek kórnicki, jezioro na którym ku podziwowi okolicznych chłopów dwaj magnaci przed pół wiekiem

urządzali bitwy morskie, z okrętami na wzór fregat Nelsona i prawdziwymi małymi armatkami. Pokazują nam nawet taką armatkę, z której potem popełnił samobójstwo jeden z tych wielkich panów, słynny podróżnik, hojny mecenas i pruderyjny wydawca listów Jana Sobieskiego. Oglądamy dwór Dezyderego Chłapowskiego, oficera Napoleona i barona cesarstwa, jednego z ludzi, którzy najgłębiej zrazili się do Korsykana i zaczęli na drodze pozytywnej pracy szukać dróg do zwycięstwa. Widzimy czworaki wiejskie z dużymi, paroizbowymi mieszkaniami, widzimy w tych mieszkaniach porządne, mieszczańskie meble, kaktusy i pelargonje w oknach, radio, maszynę do szycia, rower, wózek dziecienny w kącie, ogródki zamiast cuchnących bajor przed domami, chłopów przyjmujących za obrazę Bożą propozycję mieszkania w niemurowanej chacie. W salonie dworu siedzi jeden z tutejszych chłopów. Trzeba nam było o tem powiedzieć, inaczej nie bylibyśmy wiedzieli. To nie tylko to, że chłop tutejszy nie będzie się na „pokojach pańskich” sromił, wstydał i żenował, to także dlatego, że i w sposobie bycia niejednego z naszych wielkopolskich gospodarzy jest chłopska bezpośredniość zarazem i prostota. Różnica zaciera się i „od dołu” i „od góry”, zewsząd. My patrzymy na to jak na inny, bardzo od naszego odmienny świat. Istotnie, świat rozpoczynający się za linią wytyczoną przez kongres wiedeński za granicą ziem pruskiego Wielkiego Księstwa Poznańskiego

i rosyjskiego Królestwa Polskiego, jest bardzo odmienny.

Przez długi czas mieliśmy go za świat urobiony po prostu na wzór i podobieństwo Niemiec i tem rozwiązywaliśmy sobie wszystko. Ale cechą, która Poznańskie czyni tak bardzo odmiennem od całej reszty Polski, to nie jest niemieckość lub dryl pruski, to jest dobrobyt, a raczej, powiedzmy ściślej, jest zachodniość tutejszego gospodarstwa. Życie gospodarcze i społeczne tego kraju rozwijało się od lat stu w pełnym związku z rozwojem tego życia w całej Europie zachodniej. Jak ono, było rolnicze, cierpiące na przeludnienie agrarne, w połowie ub. w.; jak ono, zostało ogarnięte gorączką emigracji przemysłowej w kilkanaście lat później; jak ono, uregulowało swą sprawę agrarną trojakiemi drogami: emigracji handlowej do miasteczek, robotniczej do nowych parcelacji i intensyfikacji; wreszcie jak ono, zapoczątkowało nowoczesny rozwój rolnictwa i przemysłu rolniczego. Na odrębność Poznańskiegołożył się silniej i w daleko wyższej mierze ustrój gospodarczy, niż tyle u nas omawiana sprawa narodowościowego nacisku. Pług reform społecznych i ekonomicznych przeorał go tysiąckroć silniej niż tromtadracja landratów, hukanie pism nacjonalistycznych, paragrafy i ustawy antypolskie. Państwo, które temu krajowi ukształtowało ustrój jego życia, szablon jego myślenia, system jego organizacji, schemat pracy, odeszło, skurczyło się, zwężyło, jak wcześniejsza o wieki niemieckość

starego Krakowa ograniczyła się wreszcie do niedzielnej mszy z kazaniem niemieckiem u Świętej Barbary. Ale wprowadzony tu ustrój został, opiera się, trwa i odgradza. Ustrój ten zrobił wiele. Że spolszczył poznańskie miasta i miasteczka, że usunął z nich Żydów, to prawda, ale to prawda bardzo wąska i bardzo ciasna. Na konto tego ustroju trzeba tu zapisać prawie wszystko, bo prawie wszystko on tu nietyle stworzył sam, ale raczej i prędzej dopomógł do stworzenia, ułatwił, umożliwił. Gdzieindziej z niemniejszą niż tu energją były podejmowane niemniejsze niż tu i tutejszym podobne próby; bywali i gdzieindziej działacze na miarę patro- na Jackowskiego czy księdza Wawrzyniaka, mieli takie same idee, takie same cele. Pozytywizm gospodarczy, praca społeczno narodowa miała z Prusom na czele swych najlepszych formulatorów właśnie gdzieindziej, poza granicami tego kraju. Realizatorów znalazła jednak tylko właśnie tutaj, i właśnie tutaj powstały sklepy nie wyidealizowanych Wokulskich, Wokulskich bez dziadka kasztelana i wywodu z heroldji, zagrody podniesionych społecznie Ślimaków.

Śmialiśmy się i śmiejemy z słynnych poznańskich ogłoszeń, o kanapie do sprzedania, na której właścicielka gotowa jest coś stracić, o fabryce kiskek z naturalnym popędem. Podziwialiśmy, że to całe społeczeństwo jest „nareszcie” polskiem społeczeństwem chłopskiem, że zdrenowano tu całą żeromszczyznę i rabację, że Deczyńscy nie są już oddawani w rekruta, przez dziedzica

że powstanie, Polska i wszystko nie jest już dla nich rzeczą pańską, dworską i szlachecką. Otóż i te rzeczy, z których myśmy się śmiali, i te, które naszym entuzjastom wyciskały łezkę zachwytu, pochodzą z tego samego źródła. To są rzeczy, które przyszły razem, razem idą, od siebie oddzielić się nie dadzą. To są rzeczy takie same jak w polonji amerykańskiej, gdzie „Chicagoski Dziennik Związkowy” ogłasza najspokojniej, że na jakieś religijno-narodowe cele odbędzie się tam a tam „wielka afera karciana”, ale gdzie też wychodzą największe polskie pisma i gdzie istnieją jedyni nowocześni polscy milionerzy. To są wreszcie rzeczy – ludzie mali, nie obrażcie się! – takie same jak nowotwory ukraińskiej mowy, tyle wyśmiewane przez dumnych Polaków ze Lwowa i Trembowli. To są różne objawy tego samego procesu: Poznańskie i Chicago, to jedyne punkty gdzie nastąpiła prawdziwa polska rewolucja klasowa, gdzie chłop objął – wszystko, zasiadł w sklepie, banku, szkole, uniwersytecie, kancelarji adwokackiej, i wszędzie zachował się tak jak lokator domu budowanego nie dla niego, domu, w którym mu jest niewygodnie i w którym wszystko przemienia, stawiając w salonie inkubator do wylęgania kurcząt a wewnątrz fortepianu używając za nadprogramową szufladę. Nowe pojęcia, przedmioty i czynności nie znajdują w jego słownictwie odpowiednich określeń, chwytą je nagle z obcej przekręconej mowy, dorabia je sobie sam szybko i tandetnie, używa składni językowej tak samo

wadliwie jak „wadliwie” posługuje się serwetką czy nożem przy stole, ale ma już swoje snobizmy, ma już swoje Victorie Regie. Możemy o takim społeczeństwie powiedzieć to samo co zwykle mówimy o Czechach, Ukraińcach, o reemigrantach z Ameryki, – najczęściej zresztą bardzo niesłusznie, – że są to ludzie bez „manner”, że jest to społeczeństwo „chamskie”, ale właśnie w tem uchwyceniu podkreślamy istotną cechę tego społeczeństwa że jest ono nowe, młode, świeże, że w swym nieokrzesaniu posiada niewyświechtaność, że w swym braku poloru posiada siłę. Siła, młodość, nowość i świeżość ujawniają się w rozmaity sposób, ale wszystkie te objawy są nieodłączne.

Co zrobiła reforma agrarna, która w ciągu dwudziestu kilku lat przebudowała dawny, odziedziczony po Rzeczypospolitej szlacheckiej, zaostrzony jeszcze staropruskimi ustawami o dziedzicu, ustrój agrarny? Oto chcąc przeciw szlachcie ziemiańskiej, przez całą połowę w. XIX jedyne go promotora irredenty, wygrać chłopą, zorganizowała go w silną rolniczo warstwę zamoznych gospodarzy, odciągając nadmiar ludności bezrolnej lub małorolnej do miasta, do tworzącego się przemysłu posedańskiego cesarstwa. Uprzemysłowienie Niemiec i rozbudowa wielkich miast pociągnęła ku sobie z Poznańskiego wielkie siły. Pociągnęły żydostwo miejscowe, które w wielkim ruchu handlowym stolicy znalazło więcej pola do pracy; pociągnęły za sobą większe jeszcze zapewne, nigdy – rzecz dziwna – nie

obliczone u nas, masy proletariatu polskiego. Ale jednocześnie inna fala wsi polskiej poszła na miasto. Nastąpiło nieskoordynowane i pośpieszne zlanie się niemieckich form życia burżuazyjnego z chłopską naturą przybysza. Taksamo jak wychodźstwo za morzami kojarzyło swoją polsko-chłopską przeszłość z amerykańsko-miejską przyszłością. Być może, że skojarzenia te wypadły bezładnie, chaotycznie, nieharmonijnie. Być może, że uniknęłoby się wiele śmieszności i rzeczy rażących gdyby ten proces rozłożyć na długie lata, gdyby stopniowo masa chłopska przeciekała do miasta i stopniowo tworzyły się formy polskiego życia miejskiego, jak powstały one we Włoszech. Ale właśnie charakter przemian w Poznańskim miał mimo cały swój konserwatyzm, społecznie biorąc, najwybitniej rewolucyjny charakter, i ten kraj, który w swoich dziejach nie miał ani roku 1846 ani roku 1905, jest tu krajem specjalnie najmniej anachronicznym w Polsce, gdzie tyle rzeczy przypomina jeszcze życie Europy sprzed 1848 r... Piast po raz drugi zwyciężył szlacheckiego Popiela.

A ustrój zachodnio-europejski, tak jak go wreszcie wypracował schyłek XIX w., nie zatrzymał się na spolszczeniu poznańskiego miasta przez schłopienie go, nie zatrzymał się na stworzeniu jedyne w Polsce mieszczaństwa, które wywodzi się nie ze zrujnowanego dworu, ale ze zubożonej wsi. Ustrój ten, mimo sprzęgnięcia go po 1918 r. z nowym organizmem pań-

stwowym, gdzie w harmonijny chaos układa się feudalizm „dołów” z etatyzacją „góry”, nie zatrzymał się w swoim rozwoju, trwa, wydaje skutki. Zmieszczanie łe chłopstwo przyniosło do Śremów, Śród, Nakieł i Gniezen swoją starą, prymitywną, uczuciową, prostą i płytką religijność, ale połączyło ją też z mocnym postanowieniem nie dać się zepchnąć z tego standardu życiowego, na który po tylu wiekach ponieważ udało się wydostać: Poznańskie jest religijne, ale jest religijne mieszczańsko. W miastach poznańskich nie widzi się Żydów, ale widzi się i mało dzieci. Przyrost naturalny tego kraju, gdzie wychodzą dziesiątki doskonałe prowadzonych katolickich pism ludowych, jest niesłychanie nikły. W powiecie gostyńskim zaznacza się spadek urodzin. Powiat gostyński jest najbogatszym rolniczym powiatem Polski, powiatem arystokracji chłopskiej i powiatem bezdzietnym. To są wszystko rzeczy, których również nie złączył ze sobą przypadek. To są rzeczy, które taksamo dał ten właśnie i taki właśnie ustrój.

Ustrój, lepiej niż jakikolwiek inny czynnik, przeprowadził tu aż do najdalszych granic miedze własności prywatnej. Ustrój, który rozdrabnianie, nędzarskie, poletkowe gospodarstwa rolne zamienił na małe chłopskie ordynacje, przyznał każdemu z tych ordynatów chłopskich osobne ławki w kościele, czego w wielu okolicach wschodniej Polski nie mają już nawet ziemianscy kolektorzy. Ustrój nie zatrzymał się nawet

przed bramą wysokiego kościoła. Wszystko więc jest podzielone i przydzielone, niewspólne, własne. Ustrój rosyjski w Polsce starał się granice własności prywatnej zacierać; Muchanow propagował miry, wspólne pastwiska, serwituty gromadzkie, tu w Poznańskim rozgradzano wszelką wspólnotę, jak ją rozgrodzono na Zachodzie. W ludnym i rozgraniczonym Poznańskim prowadzi się jedyną bodaj w Polsce formę rozwiązania bezrobocia przez osadzanie bezrobotnych na roli, na dawnych hałdach podmiejskich, w małych ogródkach, z pobudowanymi wśród zagonów kartofli domami, między którymi pojawiają się już pierwsze drzewka owocowe, przysze sady. To wszystko pobudowane znowuż na resztkach i szczątkach wspólnej własności gruntowej; na dawnych ziemiach parafialnych czy miejskich, dawnych pastwiskach gminnych, gruntach wydartych meljoracją spod grozy zalewu Wartą, ziemiach wywłaszczonych przez Prusy pod tereny forteczne. W reszcie kraju bezrobotni ci będą armją robotniczą przenoszona od Soły do Prypeci. Tu będzie się zmierzało najszybciej do tego, żeby spowrotem dać im ziemię na własność. Znowuż w Niemczech jest milion takich ogródków działkowych, znowuż wszystkie przedmieścia, wszystkie zbocza torów kolejowych przy miastach obrosłe są haszczą takich ogródków.

Sowieckie reportaże o budowie Dnieprostroju wspominają o dosyć częstym fakcie ucieczki robotników od tej pracy. Trzeba pamiętać, że Dnieprostrój nie był bu-

dowany przez kadry zesłańców, warunki pracy nie były szczególnie ciężkie, że robotnik rosyjski nie jest, jak angielski czy niemiecki, przyzwyczajony do łazienki i do puddingu. Jednak robotnik rzucał pracę, dezertował, czego robotnik budujący Gdynię nie robił. Oto w Rosji zaciera się granica między położeniem bezrobotnego a pracującego. Podobnie na kresach, przy niskiej płacy robotnika a taniości życia, różnica między bezrobotnym a posiadającym pracę niemal zanika. Tam istnieje raczej różnica między posiadającym własność a nie posiadającym jej, i dobrobyt, bardzo zresztą względny, związany jest z faktem własności.

W ustroju Poznańskiego jest inaczej.

W ustroju, jaki ma po dziś dzień Poznańskie, przy stosunkowo – jak na stosunki polskie – wysokim wynagrodzeniu, stosunkowo – znowuż jak na stosunki polskie – wysokich cenach wszystkiego, między położeniem człowieka, który ma pracę, i człowieka, który jej nie ma, istnieje głęboka różnica. Duża demokratyzacja stosunków czyni wszystko, lub wiele, dostępne temu kto zarabia, posiada pracę. Ten kto jej nie ma, jest w wyższym stopniu niż w reszcie Polski zależny od funduszy, czynników, instytucji publicznych, w większym stopniu wydziedziczony i spauperyzowany. W takim kraju bezrobocie jest zjawiskiem dziesięćkroć tragiczniejszym.

Gdyby tu powstała była wielka kultura literacka! Oto jeszcze pytanie. Gdyby ci Kałamajscy i Zakrzew-

scy, Ratajscy i Ratajczakowie mieli braci i synów piszących, gdyby obok księdza Wawrzyniaka był Prus, zamiast Wilkońskiego Reymont. Ale wszystko co tu pisało, emigrowało z Poznańskiego nie tylko jako z ziemi, ale jako ze stosunków, z procesu dziejowego, ze zmian społecznych. Gdzież tego Poznańskiego lat przedwojennych szukać u poznaniaka który pozostał wielkim chłopem wiejskim, u Kasprowicza gdzie szukać tego co się tu stawało, u Przybyszewskiego, asymilanta niemiecko-skandynawskiej secesji? To co się tu działo z niezwykłą na Polskę konsekwencją, niestety, nie miało swego poety, pisarza, dziś także nie doczekało się swojej Marji Dąbrowskiej. Jest to większa szkoda niż się wydaje: tego typu przemian społecznych nie było w całej reszcie Polski owego czasu. Tyle nowych elementów nie wydostało się na powierzchnię nigdzie w Polsce. Literatura wyrosła z nich, obok nich, i dla nich byłaby obrazem tych przemian, portretem tych ludzi. Świadectwem epoki. Być może że dla tych warstw polskich innych dzielnic, które mozolniej odbywają proces dążenia ku górze, byłaby to literatura bliższa, bardziej dostępna, zrozumiała i swoja, niż literatura ze szlacheckim rodowodem. Jakąby była? Być może że przypominałaby Knuta Hamsuna, może pisarzy skandynawskich, bardzo być może że miejscami nawet literaturę sowiecką, która śledzi przede wszystkim proces dojścia do władzy i podniesienia się na obce sobie szczeble wielkich mas ludowych.

Literatury jednak poznańskiej niema, istnieje tylko głód literatury. To pobożne i mieszczańskie środowisko importuje z Warszawy i reszty Polski ogromną moc czasopism właśnie najbardziej lewicowych. Ten kraj, którego gazety posiadają spore jak na Polskę nakłady i najbardziej przyziemny, konkretny, amerykański sposób ich redagowania nie zawiera własnej literaturze publicystycznej. Perjodyki, sprowadzone z Wilna, ze Lwowa, z Chełmna, z Naprawy, powiewają na każdym kiosku. To są jeszcze jedne egzotyki, jeszcze jedne Victorie Regie. Spokojne, umiarkowane Poznańskie jest łase na nowinki religijne. Ustrój, jaki mu nadano w ciągu wieku, najbardziej może wyraźny z ustrojów ziem polskich, pozostawia szeroki margines do tęsknoty ku lepszemu. Ale Warszawa nie jest jedynym importem nowinek: w szynkach i restauracjach, kiedy jest Parteitag, głośniki radjowe chwytają nie tylko Hitlera czy Goebbelsa, ale Fricka, Darrégo i innych bogów brunatnego Olimpu, ludzie siedzą, słuchają, myślą. Tamten świat za Zbąszyniem jest uformowany tak jak oni, przeżywa bóle bliskie ich bólom. Być może że znalazł leki bliskie ich marzeniom o lekach. I jeśli dziś wieczorem słucha się w Poznańskim mów niemieckich ministrów przez niemieckie radio, nie myślcie że jest to skutek dawnej pracy germanizacyjnej. To więzy gospodarcze, więzy psychiki społecznej przetrwały granicę.

KIELKOWANIE NA BAGNIE

Młody zupełnie, wprost niepoważnie, nieprzyzwoicie młodziutki ksiądz opowiada mi wszystko na wąziutkiej bryczce, w środku głębokiego lasu, nad samą granicą sowiecką. Znam go jeszcze skądinąd i wiem o nim samym wiele. Jest synem zamożnej rodziny chłopskiej, tak zamożnej że już w dzisiejszych czasach nie sukienka duchowna patrzyła się jej dla syna ale bardziej po dzisiejszemu – urząd. Ten młody człowiek jest księdzem z głębokiego powołania; skończył pomyślnie seminarjum nauczycielskie, miał już przed sobą jedną karierę otwartą, gdy przeszedł na inną drogę. Inna droga powiodła go potem w najdzikszy ostep Polesia. Od małej stacyjki granicznej, skąd raz na tydzień odchodzi pociąg towarowy i jest szesnaście godzin koleją z Warszawy, było do jego parafji Puzewicze jeszcze 56 km leśną głuszą. Parafja była rzucona w błota i lasy, między prawosławie, baptyzm i zabobon. Gdzieś przy samej granicy stała strażnica K. O. P.u, gdzieś jak Owidjusz nad morzem Czarnem, snuł swe tristia zagubiony tu nauczyciel. Księży, jak wiedziałem skądinąd, przydzielano tu dotąd staruszków, czasem zesłańców nie-

dobrze widzianych w kurji. Młodziutki ksiądz nie był jednak zesłańcem i był synem chłopskim z kresów. Tedy po raz pierwszy proboszcz puziewicki zaczął naraz objeżdżać wszystkie kąty rozległej parafji i wyszukiwać w niej najbardziej zabłąkane owieczki. Jeździć musiał do nich wasągiem, ale częściej jeszcze konno, często łódką-duszegubką. Całemi tygodniami błdził tak po rojstach, omijał zdradzieckie nietry, okrążał wiorstami wszelakie hały, popławy, wyżary, w ile tego wszystkiego obfituje las i język poleszucki.

Wilkiem patrzący parafjanie spoglądali z leśną nieufnością na duszechwata. Niejedni widzieli księdza po raz pierwszy w niekrótkim życiu. Wtedy w tych odległych chutorach ksiądz Wieliczko wydostawał z torby wszystko co potrzebne jest do mszy świętej, i ludzie leśni widzieli ze zdumieniem że „molebnia” przyszła do nich z kościoła, jak z dalekiego świata do innych parafji przyszły szyny kolejowe, odgłos sygnałów tarcznych, radjo ze strażnicy K. O. P.u, nieznane choroby. Dla mszy trzeba było nie tylko oczyścić brudną izbę czy miejsce w lesie. Trzeba było przedewszystkiem uczynić to samo ze straszliwym kołtunem wierzeń religijnych, mieszaniną legend ewangelicznych, przeżytków słowiańskiego pogaństwa, którego te puszcze były ostatnim europejskim rezerwatem, starych sporów religijnych Rzymu z Bizancjum, sekciarskich dogmatów co dawno uschły w świecie, odkwitły z nową mocą w głuchem bagnie. Młody ksiądz cofał się niemal

przed bezmiarem topieli, jaka rozpościerała się przed nim. Nie mówił mi tego, ale przyznawał, że wszystkie swoje misjonarskie nadzieje pokładał w małych dzieciach leśnych. Patrzyło to ciekawie i prosto. Słuchało z niezwykłym, niespotykanym napięciem wszystkiego co ksiądz-wędrownik mówił w zalewach Słuczy i rozłogach leśnych, niegdyś może spławnych, kanałów, o tem co się niegdyś stało w Galilei, Kafarnaum, Tyberjadzie. W takie dnie ksiądz z pogranicznej parafji był tu wszystkim. Był inspektorem rolnym, który wbrew podstępnej nieufności starszych, przekonywał do sadzenia warzyw, uprzednio namuliwszy bagnem piasek ogródka, niemal zadając to jako pokutę religijną. Był nauczycielem ludowym, który docierał aż w tę głuszę i po którego odjeździe dzieci sylabizować musiały napis na jedynym okazie druku w puszczy – świętym obrazku. W te kilka świąt do roku, gdy jednemu księdzu wolno jest odprawić trzy msze, ksiądz rozpoczynał dzień o czwartej rano pierwszą mszą w Puziewiczach, poczem zaraz siadał na konia i jechał na drugą mszę o dwadzieścia kilka kilometrów, potem – wciąż naczczo – na trzecią, którą odprawiał już prawie po dwunastej.

W tych wędrowniach, jeśli nie ocierał się o granicę sowiecką gdzie patrolują żołnierze, lub o drogę do stacji, którą czasem ktoś przejeżdżał, nie spotykał nikogo prócz leśnych ludzi. Ale ksiądz miał w tych bagnach głęboko zaszytych przeciwników. Nie musiał tu prowadzić słusznej czy niesłusznej wojny, jaką niejednen

ksiądz wiedzie na wsi z niejednym nauczycielem, odnoszącym się niechętnie do religji. Po zaściankach lub czasem w zupełnej głuszy siedzieli jednak ludzie, którzy też sprawowali swój rząd dusz. Czarodzieje, znachorzy i wieszczuny. Były to dzisiaj przedewszystkiem kobiety zamawiające choroby, do księży odnoszące się niechętnie, niechęcią zapadłą może w czasach gdy te ostatnie służki dawnych kultów pogańskich tropiono w lasach i oddawano katu. Ksiądz z Puziewicz łamał bowiem niepisany rozejm między kościołem a znachorstwem w tych stronach: zamiast siedzieć na swej parafji, rozjeżdżał po niej, grasował po najdalszych zaściankach, niejako raubszycował na cudzym terenie. Dokąd nie zaglądali żadni przedstawiciele wielkiego państwa, zaglądał i wkraczał. Wszystko w tych rojstach było zatem jak gdzieś w Rodezji czy Kambodży, gdzie misjonarz wypłasza przedewszystkiem miejscowego czarnoksiężnika.

Dziś młody ksiądz żałuje swej leśnej parafji. Jest teraz także nad granicą sowiecką w środku Polesia, ale ma stację na miejscu. Całe miasteczko drewnianych domów rozrosło się, gdzie przed szesnastu laty stało jedenaście chałup. Na terenie olbrzymich niegdyś magnackich majątków, dziś zagranicznej spółki akcyjnej, powstała fabryka dykt, zatrudnia przeszło tysiąc robotników. Po lasach, które zaciskają się wokół osady, drży płynący z rosą metaliczny dźwięk pił tnących drzewo. Huczą trzy razy na dobę syreny fabrycznej

zmiany. W puszcze wdarł się naraz przemysł, w społeczeństwie leśnych dziadków, żyjących z myślistwa, tłukących sobie kaszę w stępach, mielących ziarno w żarnach domowych, tkających sobie odzież i krzeszących ogień z hubki, stanął – robotnik.

W wielkich niedawno wybudowanych halach fabrycznych unosi się silny, nieznany gdzieindziej zapach pni olchowych i sosnowych, które długimi miesiącami mokły w wodach Prypeci i Piny. Tak pachnie w porcie w Pińsku, na przystani horyńskiej w Dawidgródku, w załomach Jasiołdy, na której kajak zatrzymany jest nieraz spławem flisackim. Ale w wielkiej fabryce poleskiej nie tylko tnie się olchę i sosnę. Oto na zębaty walec maszyny nałożono duży kloc i trzeci. Za chwilę maszyna rozwinie te kłoc w zwoje, jakby tkaniny, potnie je na części, będzie je pod prasami rozprostowywała, zlepią, składała na cienkie deski meblarskiego forniru. Maszyna obraca teraz pień drzewa serayah, potem weźmie na swoje noże pień drzewa teak, potem weźmie pnie limby białej i czarnej. Serayah jest drzewem z Borneo, tamte są drzewami z Afryki Południowej. Czy to meblarstwo polskie potrzebuje tych drzew szlachetnych? Bynajmniej. Serayah i teak, które przybyły tu z egzotycznych krajów, wrócą tam zpowrotem w formie dykty, zrobiwszy morzem i lądem tysiące kilometrów i całe tygodnie podróży. Pocóż to wszystko? Oto trzeba pamiętać że Unja Afryki Południowej jest dominjum angielskiem, o wysokim stan-

darcie życia robotnika, że holenderski robotnik jest także robotnikiem o wysokich płacach. Przeróbka drzewa, która nie opłacałaby się w Kapsztadzie, opłaca się w Mikaszewiczach.

Czy więc w lasach panuje wyzysk przemysłu i wyzysk przemysłu czyni rentowną podróż afrykańskich kłoców na Polesie? Nie mam tego wrażenia. Oto zarobki robotnicze wynoszą, jeśli chodzi o kobietę, od zł. 1.60 do zł. 2.80 za ośmiogodzinny dzień pracy, mężczyzna zarabia tu od zł. 2.40 do zł. 7 dziennie. Są to oczywiście w zestawieniu z Zachodem robocizny niskie, ale są to robocizny wysokie, a nawet bardzo wysokie, jeśli chodzi o to co człowiek tutejszy mógłby zarabiać gdyby po dawnemu w Mikaszewiczach jedenaście suchotnicznych chałup sterczało pod lasem. Mieszkania robotników są czyste i schludne, dogłądane przez opiekę społeczną, jest łaźnia bezpłatna i bezpłatna, oczywiście – pralnia, jest spółdzielnia sprzedająca artykuły pierwszej potrzeby istotnie po najniższych cenach, jest piękny dom ludowy z salą teatralną, do której przyjeżdża czasem teatr objazdowy z Wołynia, robotnicy mają opał za darmo, siano dla swego bydła kupują ze znaczną zniżką. Dom opieki nad matką i dzieckiem ma czyste białe pokoje, wszystkie urządzenia. Stację obsługują dwie pielęgniarki fachowe. Kobiety ciężarne, które pracują w fabryce, i żony robotników, które same nie pracują, istotnie znajdują tu pomoc. Każdy noworodek dostaje całą wyprawę bielizny, wianienkę. Znowu

trzeba pamiętać, że to jest Polesie, że matki tych noworodków najczęściej wyszły z lasu, że trzeba dogłądać aby z wianienki czyniono właściwy użytek a pieluchy nie poszły na chusty. Znowu trzeba te rzeczy brać w związku z krajem. To co byłoby naturalne w Poznańskim, za prymitywne w Manchesterze, dużo oznacza na Polesiu.

Tych tysiąc trzystu ludzi zatrudnionych w Mikaszewicach, to nie wszystko Poleszucy. Mamy wśród nich Polaków z Kongresówki, Śląska i Poznańskiego. Element ludzki miesza się tu stale, dopływa nowy. Fabryka rozbudowuje się jak zresztą bodaj cały przemysł drzewny w Polsce. Fabryka przerabia drzewo poleskie, a, jako ważny „produkt uboczny”, przerabia i poleskiego człowieka. Praca na starej wsi poleskiej stanowi jeszcze jedno podobieństwo z murzyńskimi stosunkami w swej bezwzględnej większości ciążyła na kobiecie. Wielkiem zajęciem mężczyzny były sianokosy, dokonywane na łąkach bagiennych. Wszystkie inne zajęcia należały do kobiety. Mężczyzna wiódł żywot kacyka podzwrotnikowego, polował, łowił ryby. Tłuczeniem kasy i mieleniem zboża zajmowała się kobieta. Fabryka wszystko zmieniła. Praca w fabryce zmusza człowieka do nieznanego na wsi napięcia nerwów, uwagi, zmusza do szybkości, metodyczności ruchów, tempa pracy. To już nie jest ani koszenie, ani spław drzewa, i pieniądze, jakie tu ściągają ludzi, nie są przez nich łatwo zarobione. O takiej pracy Poleszuc nie miał pojęcia. Ale też

robotnik ma pieniądze. Robotnik ma czystą izbę, widział teatr, czyta, pije herbatę z cukrem. Ta nowa warstwa socjalna na Polesiu przeżywa ogromną hausę na miejscowej giełdzie kobiecej. Cóż znaczy wyjść za popa, za gospodarza, za zaściankowego szlachcica, jeśli można wyjść za robotnika? Robotnik, to duże mieszkanie, ogródek, kilkadziesiąt złotych wypłacanych co drugi tydzień, to herbata i cukier, zapalki i nafta czy elektryka, to miastowy kapelusz, to gościńce fabryczne dla dzieci na gwiazdkę i nowe, ciekawe życie. Ten mąż, który idzie na osiem godzin, potem wraca sharowany, nie czepia się byle czego, pracuje, zarabia, to istotnie ideał małżonka, a jego pozycja na tle nędzy poleskiej istotnie znaczy wiele.

Ale to nie tylko pospolite kobiece ciągoty, zadowolenie kotki przy ciepłym piecu i łaskawych ludziach, podnosi olbrzymie znaczenie socjalne jakie stwarzają w Polesiu narodziny robotnika przemysłowego. W kategoriach poleskich jest to nowy człowiek i nowa warstwa. To nie jest „człowiek prosty”, ale niemniej nie jest człowiek „z panów”. „Z panów” jest każdy urzędnik, nawet sekwestrator, choć oczywiście urzędnik nie jest z tych prawdziwych, wielkich i dawnych panów. Dotąd na Polesiu była tylko jedna kategoria ludzi żyjąca między światem prostym a pańskim: Żyd. O Żydzie pomówimy później. Otóż naraz taką kategorią nadzwyczajną stał się robotnik. Dziś robotnik coraz bardziej zaczyna być zaliczany do warstwy i kategorii

„swojej, ale nie prostej”. Zbyt wiele tutejszego, prostego elementu wsiąkło w jego kadry. Robotnik imponuje stanowczością, skupieniem w sobie, twardością swoich powiedzeń, rozumieniem rzeczy, których prosty człowiek nie umie sobie wytłumaczyć. W twardej szkole fabryki robotnik nauczył się nowoczesnej metody pracy. Był pierwszym Poleszukiem, który naprawdę pracował kolektywnie, zbiorowym wysiłkiem. Od innych robotników nie przedzielały go kilometry rojstu czy bagna. Pracował z nimi w warsztacie, jadł w jadalni, bawił się w domu ludowym. Robotnik na wsi, to ktoś taki jak rekrut wyszły z koszar w Grudziądzu, reemigrant z Buffalo. Dla syna chłopskiego zostać urzędnikiem, policjantem, kupcem, nauczycielem, to senne marzenie. Zostać podoficerem zawodowym – piękny pomysł, ale trudny. Zostać robotnikiem na fabryce jeszcze można, i to jest bardzo wiele w marzeniach młodego Poleszuka. A takie marzenia przeobrażają społeczność.

Ale jeszcze jedno człowiecze w społecznych kotłach fabryki dykt nad granicą przerabia się i prasuje: to mowa tej mieszaniny ludzkiej. Tworzy się coś podobnego jak ze Ślązakiem przed wojną, który wprowadzony w las i w pole, mówił gwarą Reja i Piasta, zaprowadzony na tereny fabryczne, objaśniał wszystko w mowie potwornych, niemieckich koślawizn. Rosja pozostawiła na Polesiu terminy państwowo-urzędowe. Poleszuk mówił „wospieszczajetsia” i nazywał wojsko

„moskalami”. Nieliczne terminy fabryczne były z rosyjska niemieckie. Teraz terminologia, związana z fabryką, z życiem miejskim i społecznym tych nowych ludzi, jest polska nie tylko wtedy gdy sami przychodzą z Polski. Rdzenny Poleszuk powie dziś „obrabia-ka”, „wiertaczka”, „koło rozpędowe”. Słowa, które dla nas brzmią nieco jak nowotwory profesorów lingwistyki, dopiero w jego ustach brzmią naturalnie.

Ale to jeszcze jest dopiero połowa przemiany. Jest fabryka, jest nieraz ojciec Mazur spod Skierniewic, ale jest jeszcze kraj, jest matka Poleszuczka, córka chłopca, ta która śniła o mężu-robotniku i która tego męża dostała. Twarde, męskie i polskie słowa fabryki mieszają się w tym świecie mikaszewickim z miękką, bezradną mową, kraju i matki. Jaką mową będzie mówił syn tych dwojga, młode pokolenie wywodzące się z fabryki i rojstu? W jego mowie mieszają się obie mowy. Robotnik-Polak, coś dopiero robotnik-tubylec, ożeni się prawie zawsze z kobietą tutejszą, jego dzieci będą się bawiły z dziećmi tutejszemi, Warszawa będzie dla nich dalszą niż Olewsk, Gopło egzotyczniejsze od Dniepru. Może za jakie lat dziesięć dwadzieścia, będzie nacjonalista targował się o dusze tych dzieci, które teraz zbierają jagody, szukał w ich metrykach babki-katoliczki, dziada-Mazura. Może do tego czasu lepszy nacjonalizm uzna, że najszkodliwsze jest właśnie to wbijanie pali, rozgradzanie rodzin, powiewanie metryką. Ci ludzie przy-

szli, najnowsi, mogą być nową wielką Polską. Napewno jednak nie zrobi się z nich Polski spod Krakowa i znad Gopła, a dziś na kresach, w praktyce, Polska i polskość, to rzeczy nie rozszerzone ponad etnografię, ale zacieśnione do czapek krakusów, do legend wielkopolskich, do kraju z Łęczycy i Sieradza, malutkiej, endeckiej Polski. Konstanty z Ostroga i Lew Sapieha, fundatorzy kościołów i cerkiew, to bohaterzy posądzeni o irrendentę. Jeszcze Jarema Wiśniowiecki znajdzie łaskę jeśli nie u nauczycielstwa poleskiego, to u poleskiego wojewody. Mój młody ksiądz pochodzi z rodziny polskiego włościanina z kresów wschodnich. Jest niewątpliwym Polakiem, nawet nacjonalistą, ale pewien wojowniczy ksiądz z Poznańskiego dopatrywał się w tym nieśmiałym, dobrym człowieku „agenta Białejrusi”. Białoruś w oczach tego poznańskiego księdza, to oczywiście jedna z kilku głów „hydry germańskiej”.

Młody ksiądz patrzy jednak inaczej niż ja na fabrykę, która zmienia jego leśnych ludzi w najmłodszy proletarijat Europy. Ksiądz wie, że w szerokim promieniu od fabryki dawne worożychy odzyskały po raz pierwszy od czasów pogańskich aktualny przedmiot swych czarów; ksiądz wie, jak znaczny i tu i w rejonach K.O.P.'u jest odsetek kobiet spędzających płód nieślubny, lub płód taki, który dla ludzi uczeplonych za pierwszy w życiu dobrobyt będzie ciężarem. Ksiądz wie, że „babka” z lasu odnajduje w domach fabrycznych

chętne pacjentki, zna jej proceder, aż do ziół, któremi kuruje po obrzydliwej operacji. Mało dzieci doczeka się narodzin i blaszanych wanienek, o których nie słyszano w głębi puszczy. Ksiądz wie jeszcze ilu tu zatrudnionych ludzi porzucało gdzieś po świecie, albo i tutaj, swoje żony, wzięło inne, ilu zamienia się niemi. Ksiądz wie jak śladami cywilizacji wpelza prostytutka, wie jak wygląda życie innych ludzi, których tutejsi robotnicy mają przed oczami. On jeden może w duszy uznać racje ludzi wiejskich, którzy biją leśną dziewczynę gdy zadaje się z K.O.P.'owym żołnierzem. A jednak, czasem, ma wątpliwości. Oto właśnie tych samych najgorzej grzeszących parafjan spotka rano, dobrze przed pracą, gdy pójdą na dobrowolną budowę wznoszonego tu kościółka. O, nie bójcie się, nikt i nic ich do tego nie zmusza, nic te rzeczy, poza jakim datkiem, nie obchodzą belgijsko-ewangelicko-żydowskich zarządców firmy. Ksiądz wie, że doprawdy bez najmniejszego nacisku ci sami ludzie opodatkowali się drobną ale powszechną ofiarą na budowę kościoła, i że ten mały kościółek, który w październiku będzie gotów, jest im dumą w tej osadzie, dzięki nim z szybkością Gdyni powstałej. Lutrowski „sündige gut aber glaube besser”, stosowane przez tych ludzi, nie może zaćmić księdzu tego całego grzechu, który tu widzi codzień, gdy inni widzą w nim rzeczy ludzkie i powszednie. A jednak idą mu trochę pod serce. Młody ksiądz jest tutaj bezradniejszy niż wobec leśnych ludzi z rojst,

niż gdyby ci w grzechu żyjący gardzili i nim i kościołem. Wykształcenie seminaryjne i wiejska przeszłość nie dały mu klucza do tych spraw. Rosną tu dla niego maceczniki ludzkie, trudniejsze jeszcze od tamtych. Trzeba będzie z trudem się przedzierać. Mam jednak wrażenie, że ten młody, nieśmiały człowiek przedrze się przez nie lepiej niż to tutaj robią inni.

*

Inni przedzierają się znacznie trudniej. Polesie, jak Wołyń, jak Śląsk, są terenami wojewodów, którzy eksperymentują. Eksperymenty wojewody Kostka-Biernackiego są odmienne od eksperymentów jego wołyńskiego sąsiada, Henryka księcia na Kiwercach („tak Napoleon daje swoim wodzom księstwa, od miejsc, na których wielkie odnieśli zwycięstwa”), jeśli chodzi o narodowe eksperymenty. Jeśli chodzi o metodykę pracy i jej stronę społeczną, znajdują jednak bez trudu wspólny język. Ostatniem słowem wspólnem z administracyjnego słownika dwóch województw jest eksperyment „śpichrzów zbożowych”. Może słyszeliście coś o tem? Otóż śpichrze zbożowe stworzone zostały, oczywiście wielotysięcznymi kosztami, w każdej prawie gminie. Zbiera się tam zboże uzyskane z nowej, nieprzewidzianej niczem daniny od hektara. Powstaje w ten sposób zapas, który nie bez sensu powierzono do dyspozycji szefom wydziałów bezpieczeństwa. Zapas

ten miał „w zasadzie” stanowić fundusz pomocy w wypadkach głodu: w praktyce jest znakomitym środkiem regulowania, oczywiście wdół, cen zboża, no i znakomitym, dostosowanym do miary miejscowej „reptilien-fondem”. Cóż innego nad pełną i już od momentu siewu nie od zbiorów zaczęłą, kolektywizację zboża, przeprowadzają Sowiety? Cóż doprawdy „przeciwstawiamy” (tak to się tutaj mówi) „światu bolszewizmu”, jeśli aż do metod gospodarczo-politycznych robimy malej i nieśmiaalej to co oni?

Trzeba przyznać władzy na Polesiu, że nie toleruje żadnej walki narodowościowej, żadnego judzenia. W dzisiejszych czasach i przy dzisiejszej administracji, to już bardzo wiele. Polesie jest dziwnym krajem. W Pińsku wychodzą trzy samowystarczalne, opłacalne pisma o kilkunastotysięcznym nakładzie. Można podziwiać takie nakłady, uzyskane bez subsydjów urzędowych w ziemi, gdzie analfabetyzm jest częścią składową horyzontu. Wszystkie trzy pisma Polesia i Pińska są to pisma żydowskie. Olbrzymia większość inteligencji miejscowej jest żydowska.

Ale typ poleskiego Żyda jest tak osobliwy, że trzeba o nim pomówić. To nie tylko inteligencję żydowską i żydowskiego kupca posiada ten kraj. Tu jest jeszcze żydowski rolnik, żydowski robotnik. Zapewne nigdzie na świecie, poza jakimiś próbami w Rosji i poza Palestyną, masa żydowska nie przyłgnęła tak silnie do zie-

mi. Polesie, przy tych warunkach, zwracało na siebie uwagę „terytorjalistów” chcących osiedlenia Żydów poza Palestyną. I to samo Polesie odpowiada dziś masie żydowskiej czem innym: człowiek, który pierwszy rzucił hasło powrotu nad Jordan, nazywał się Pińskier. Nigdzie siły rewizjonistów żydowskich, grupy najsilniej negującej bytowanie Żydów poza Palestyną, nie są tak silne jak wśród Żydów poleskich. Spędziłem dwie noce na statkach. Jechała niemi młodzież żydowska. W Wilnie śpiewaliby „Wołga, Wołga” i mówili po rosyjsku. Na szlaku Prypeci śpiewali pieśni hebrajskie zawleczone z kibuców Emeku, mówili po hebrajsku.

A to jest naprawdę dziwne. Nigdzie tak jak w spokojnej, powolnej Pińszczyźnie Żyd w Polsce nie może się czuć pewny, zrośnięty z krajem jak tutaj. Antysemityzm inteligencko-urzędniczy jest hamowany nielicznością tego elementu w prawdziwym morzu Żydów. W Pińsku akademja uroczysta, święto morza, trzeci maja, jedenasty listopada przedstawiałyby się jak mizerny wieczorek amatorski, gdyby nie zapewniono sobie udziału Żydów. Manifestacje z tym „gościnnym udziałem” istotnie wypadają tłumnie i masowo, a prawdopodobnie nawet zachodnie dzielnice Polski nie objawiają tak świętego oburzenia mas, gdy na nich mówi się o Niemcach... Akcji antysemityzmu inteligenckiego w szerszej skali więc nie ma. Jeśli chodzi o

lud, to mimo lichwy istnieje jakby pewien filosemityzm.

Trzeba to sobie wytłumaczyć i trzeba w tym celu powrócić do owego tysiąca robotników nadgranicznej fabryki fornierów. Otóż w dawnym układzie kraju, gdy nie było jeszcze jako warstwy społecznej robotnika, Żyd był tem czemś pośredniem między „panem” a „człowiekiem prostym”. Od czasu gdy pojęcie „pana” stało się w swej większości pojęciem napływowego urzędnika, obcego i zwierchniego, rozdział między nimi urósł. Życie przyniosło moc wydarzeń, których człowiek prosty nie mógł sobie wytłumaczyć. I oto w tym stanie rzeczy najbliżej jeszcze człowieka prostego stał także człowiek tutejszy, Żyd. Nieliczni ziemianie uważali – niesłusznie – za swój obowiązek nigdy wobec „ludzi” nie krytykować polskiej władzy. Żyd postępował swobodnie. Żyd wyjaśniał, tłumaczył, bardzo prosto, wiele. Żyd był źródłem nowinek ze świata, tem czem ongi dla rzeszy szlacheckiej – przejezdny kwestarz. Pantoflowa poczta żydowska, którą tak dobrze opisuje Walery Przyborowski, czy Józef Korzeniowski, dotrwała na Polesiu. Chłop nie tylko kupi u Żyda, chłop z Żydem pogada i od niego się dowie załamanych w kupieckim mózgu nowinek ze świata. Spółdzielnie, zakładane pośrednio czy bezpośrednio przez władze, nic tu nie zmieniają. Elementem, który naprawdę odbiera Żydowi poleskiemu jego stanowisko wobec mas ludu, jest dopiero robotnik. On także wie-

le rzeczy – nie sądźcie aby specjalnie socjalistycznych – Poleszukowi tłumaczy, ale jest jemu bliższy. Po Przytyku i Mińsku jest tu naprawdę wielki spokój. Cicho płynie woda Prypeci, miękko szeleszczą trawy mokrego stepu. W poświęconej zagładzie ziemiaństwa ukraińskiego „Pożodze” Kossak-Szczucka pisze o Kozaku dońskim, stacjonowanym z oddziałem na wsi; Kozak ten bardzo sobie upodobał jej synka, a gdy w okresie pierwszych wrzeń anarchistycznych wyjeżdżał, prosił rodziców dziecka aby mu je dali za swoje. „U was tut budiet płocho, oczeń płocho, a na Donie spokojno, sławno”... Żydzi z Pińska czy Lenina mogliby tak powiedzieć do opiekunów sierot Minkowskich. U nich na Prypeci byłoby dla tych dzieci, jak nad Donem, „spokojno, sławno”. Ale młodzi Żydzi nawet z tego kraju, w który żydostwo wrosło nietylko łokciem handlarza lecz robotnikiem spotykanym na Pinie, chcą sami odejść.

*

Słucha o tych rzeczach tak bardzo tutejszy mój towarzysz podróży na wózku chłopskim, sierżant K.O.P.’u, i ku memu strapieniu, nie dostrzegł ich dotąd, ani tych ani wielu innych. Nie bierzcie tych strapięć za przesadę imperjalisty: sierżant, czy podoficer K.O.P.’u odzwierciadla nie swoje tylko poglądy, ale i sam nie jest w tym kraju postacią bez znaczenia.

W Warszawie nie macie nawet pojęcia ile pod Were-
nowem czy Stolinem znaczy sierżant K.O.P.'u. Jedzie-
my, ja słucham, a on mi wyluszcza swoje poglądy na
potrzeby Polski. Przedewszystkiem należy upaństwić
obcy kapitał pracujący w Polsce, potem wszelkie fa-
bryki i latyfundja, potem trzeba zrobić wielkie roboty
publiczne, naprostować krętą Piłę, trzeba Żydom ode-
brać handel i oddać go w ręce spółdzielni. Wojsko po-
winno być pepinierą wszystkiego. Na wszelkie posady
powinno się przyjmować ludzi o trzyletniej nadpro-
gramowej służbie wojskowej. „Tak jak już jest w po-
licji”. Administrację, przyszłe przedsiębiorstwa pań-
stwowe trzeba obsadzać elementem wyszłym z wojska
w całości. To co się dzieje obecnie jest niedostateczne.
Wtedy nie będą możliwe takie afery jak Parylewicz-
wej. Lechicka Sparta sierżanta będzie wojskowa i czy-
sta.

Właściwie mówiąc, program sierżanta K.O.P.'u jest
już w znacznym zarysie zrealizowany. Nie będę się go
pytał, czy wie, że jedno z największych przedsiębiorstw
państwowych w Polsce przynosi mniej dochodu niżby
przyniosło, należąc do prywatnego przedsiębiorcy i płą-
cąc normalny podatek dochodowy. Nie będę mu wy-
kazywał, że w lasach państwowych Hajnówki robotni-
cy skarżą się na wyzysk, albo że oaza prywatnej wła-
sności i nieurzędniczenia, Poznańskie, jest krajem bi-
jącym w nieskończone rekordy dobrobyt kraju spich-
rzów zbożowych. Nie mam czasu na prostowanie tak

wielu rzeczy. Nie mam także żadnej gwiazdki na czap-
ce. Ale sądzę, że przecież jest ktoś powołany, na to, aby
czynnik, który współpracuje w przyszłości tego kraju,
nie miał w głowie mętlika nierealnych uproszczeń.
Znowu na tej bryczce myślę o księdzu, który uganiał
się po rojstach i prostował mylne ścieżki myśli religij-
nej. Trzeba jednak kogoś, żeby ten kraj inaczej nieco
ruszył. Dużo rzeczy prostuje się samych, moc innych
prosi o prostowanie. Kołtun w tym kraju rośnie nie-
tylko na głowie, ale i w głowie, chroni się nietylko pod
chustę chłopki. Problemy, wielkie problemy tego kra-
ju, tych ludzi, Polski, świata, leżą jak senna martwota
wód pińskich. Bo najpierw trzeba rzeczy tego kraju,
takie jakie są dziś naprawdę, widzieć. A potem, –
w tem właśnie jest cała, pozornie łatwa, ale naprawdę
bardzo trudna sprawa, – potem trzeba je rozumieć.
Trzeba wprzác, powołać do tej pracy zewsząd elemen-
ty najmłodsze, najsilniejsze, ochoty pełne, wykształ-
cone i ofiarne. Przez przeszło lat sto takie kadry walki
polskiej dawało nie istniejącemu jeszcze państwu mło-
de pokolenie inteligenckie... Myśl odpływa daleko od
Polesia, do uniwersytetów, do przyczyn, dlaczego tych
ludzi tu niema i dlaczego ci potrzebni i odpowiedni lu-
dzie stamtąd coraz mniej wychodzą, dlaczego zastępu-
je ich źle wyrobiony urzędnik, lepszy w akcji niż w my-
śli – pan sierżant.

MICHAŁ - KLEOFAS

Do TELECHAN jedzie się odnogą wąskotorowej kolejki dojazdowej. Trzeba sobie raz jeszcze uświadomić, że rzecz dzieje się na Kresach, na pograniczu Polesia i Nowogródczyny, że kolejkę budowano w roku szesnastym dla użytku niemieckiego frontu, że wreszcie Telechany nie leżą na głównej linii tego znakomitego szlaku, ale już na jego „bocznej odnodze”. Wszystko jest tu na miarę telechańską; obywatel posiadający 100 złotych w P. K. O. uchodzi za lokalnego magnata, a obywatelka umiejąca czytać nietylko w książce do nabożeństwa za intelektualistkę. Pociągi na tej znakomitej, zagubionej w moczarze i przetrzebionym lasku kolei, kursują dwa razy dziennie. Urocze lokomotywki mają wąziutkie szyjki kominów, zakończone wspaniałym turbanem, niczem stare garłacze muszkietierów Ludwika XIII. Sapia i wydają z siebie pary i dymu więcej, niż największe lokomotywy z Pacifis Railroads, a postój na węźle kolejowym Święta Wola trwa o 35 minut dłużej, niż postój ekspresu Paris-Niegorełoję w Berlinie. Lasy wokoło tej kolejki, przecinającej gęszą bezkolejowej przestrzeni kraju, są niestety wyni-

szczone zupełnie. Monotonja młodego lasu, częściej lasku, który tu ostał się lub wyrósł od tamtych czasów, jest smutna. Kolejkę tę w ostatnich czasach swej władzy wykorzystywali Niemcy do gruntownego ograbienia puszczy. Podchodziła ona przecież w najwspanialsze tereny borów skirmuntowskich, pusławskich, dawnej ognińszczyzny. Olbrzymy leśne stały tu o krok, waliły się niemal na tory. Te olbrzymy były niemiłosiernie wycinane. Nietylko dniem, ale i nocą, prz światłem lamp elektrycznych rąbano, pilowano, wywożono. Nie trzeba się temu dziwić: w tym właśnie okresie wojny bolszewizm zniszczył był siły obronne Rosji, na Zachodzie przybyła Ameryka, w Niemczech był głód surowców. Chemicy niemieccy wiedzieli, że drzewo odpowiednio przetworzone może zastąpić cały szereg potrzebnych surowców. Moc niemieckich ersatzów, ersatzów odzieżowych, spożywczych, napędnych fabrykowano z poleskiego lasu. Czekano z upragnieniem w Niemczech na te drzewa ładowane na kolejkach jak ta, między Janowem Polskim, Iwacewiczami a Telechanami. Dziś kolejka pozostała, jak w głuszy leśnej pozostały niepotrzebnie bloki olbrzymich betonowych schronów i fortów, jak przedtem pozostały karabiny, pasy wystrzelanych naboju kulomiotowych, maski do gazów trujących. Demobilu olbrzymiej armji.

Oplakana kolejka idzie więc przez resztki swej ni-szczącej pracy, wije się jak olbrzymi, potworny kornik tego kraju. Och nie mam za złe Niemcom, każdy pa-

trjota swego kraju musiałby to zrobić! Ale Polesie tych stron jest pustynnem Polesiem. Tam, gdzie wyschły, wydobyła się zaraza lotnych piasków. Drzemaly spojone korzeniami drzew. Trzymała je pod powierzchnią sieć korzonków wrzosu. Gdyby wszędzie trzebiono drzewo doszczętnie, spod mchów, które powyrąbano las, byłaby tu pustynia lotnych piasków. Małe osady i wsie, całe z drzewa, toną w miękkim piachu. Żle tu rosną zboża, fatalnie kartofle. Wreszcie Telechany. Nędza. Na pryncypalnej ulicy Marszałkowskiej, która dość smętnie przypomina Warszawę, same sklepy wódczane. Wyszynk, handel alkoholem, rozlewnia, wina i wódki. Czasy saskie do użytku braci-chłopów. Coraz inni żydzi sprzedają w tak samo nędznych chatkach najtańsze i najgorsze wódki. Wszystkie inne towary trzymane są jako dodatek do wódki i „machorki”. Nawet skład apteczny siedzi kątem u wódczarza. Białe świeci przychodnia, pusta zupełnie, bezruchem promienieje kasa Stefczyka, „otwarta dwa razy na tydzień”. Gdzieś betonem sklepienie piec wypalają węgiel drzewny. Szyld komornika donosi, że przebywa on tutaj tylko „od 25 do końca każdego miesiąca”. Wystawiam sobie że najszczęśliwszy miesiąc w Telechanach to luty.

Potem naraz temi suchotniczymi uliczkami zasnętego miasta wychodzi się za opłotki. Wielkie łodzie rozsychają się od słońca. Idziemy dalej, drzewa, ładniej, niema piasku. I naraz...

*

*

*

Kanał Ogińskiego.

Komuś co Polesia nie zjeździł, nie włókł się godzinami po piachu, nie jechał smrodliwą kolejką, nie widział tej nędzy, biedy, biedy cherlawych żydów, brudnych dzieciaków tabunami o jakich w centralnej Polsce nie ma się pojęcia, nie zrozumie jakie wrażenie robi ten prosty kanał. Oto naraz ziemię przecina szlak szeroki, a wytyczony równo, jak strzelił, rozumną, pewną, równością ludzkiej nauki. Wielkim szlakiem toczy się równo woda. Brzegi obramione są porządnie palisadą kołów. Jak okiem sięgnąć – długi, niebieski szlak. W oddali błękitnieje już, nie marszczy się jak tutaj, i wygląda jak stalowa autostrada. Nad jego brzegami olbrzymie dęby, rozłożyste, cieniste, wspaniałe. Dębami poznaczony jest szlak kanału. Woda o zabarwieniu rdzawo-złotem, żelazistem zabarwieniu wód Dniepru i Prypeci, odłtija w sobie niebo, chmury i te wspaniałe hetmańskie dęby.

Tak jest przed nami.

Za nami woda rozlewa się w nieregularny, ale z prostych linii złożony, pięciobok. Ta geometria wszędzie, tu na Polesiu, gdzie drogi, i szosy rozchodzą się w najbardziej nonsensowych zawijasach, a miasta mogłyby się uczyć symetrii od grzybów w lesie, jest do prawdy coś wspaniałego w tej geometrii. Jak wiadomo wszystkie teorie o tem, że planeta Mars jest zamiesz-

kała, powstały stąd, iż uczeni dostrzegli na tej planecie równo wytyczne biegi wód – kanały – niechybny znak istnienia myślącej istoty. Otóż w tych nędzarzskich, chaotycznie budowanych Telechanach, w tym kraju jak wielki samosiej, wyrośniętym bezładnie i dziko, naraz ten kanał pokazuje, że istnieli tu ludzie, którzy myśleli naukowo i tworzyli planowo.

Wspaniały kanał!

Woda płynie miękko, cicho. Okres spławu i natłoku na kanale, to maj. Wtedy niezliczone ilości tratw spływają tą drogą. Całe miasteczka i wsi płyną jako flisacy. W takim Motolu królowej Bony pozostają podobno tylko starcy i żydzi. Powstanie całych osad łączy się chronologicznie z powstaniem kanału. Dęby, które nad nim szumią, szumią naprawdę sławą.

Niema nic tak dziwnego jak ten kanał. Największe, najpotrzebniejsze dzieło, jakie tu wzniesiono w tym kraju, to on właśnie. A wzniosła go Rzeczpospolita, chyląca się ku upadkowi. Nie Rosja, nie Niemcy, dawna Polska. Wzniesiono go w epoce niemal saskiej i nie wiele różnej od saskiej: Sejmiki i zjazdy wrzały w najlepsze. Wzniósł to hetman, który był kiepskim wodzem, którego wylegującego się z kochanką w namiocie rozbił był w puch Suworow. Nigdy Rzeczpospolita nie była tak bezsilna, strupiesziała, bezpańska jak wtedy. Nigdy polska myśl temu krajowi nie dała rzeczy większej. Nie wiem ile kilometrów ma dziś ten kanał. Wiem tylko, że jeśli może zaimponować inteligentowi z mia-

sta, to jakżeż nie imponuje tutejszym, prostym, którym po stu latach żywi, którzy nic wspanialszego nie widzieli. Przez przeszło sto lat, poprzez całą Ilowaj-szczyznę, dyskredytującą Polskę Szlachecką, mówił tym ludziom o wielkich rzeczach, które tu zbudował ten Polak, pan, magnat, hetman, książę. Jego wymowa była silniejszą nad propagandę insprawników.

Wodny szlak kanału błękitnieje daleko. Trzeba schylić się niżej od gałęzi dębów, żeby widzieć jego kres zlewający się z niebem.

Wokoło kanału jest puszcza, brudne żydowskie miasteczka, nędza chłopska poleska, groźne, nieużyteczne, obce, betonowe kazamaty Niemców. Kanał stanowił linię frontów. Najpotrzebniejszym dziełem jakim się może wylegitymować nowa Rzplita, to nie strażnice KOPU, nie ludzie z miasta na posadach wójtów, nie spichrzu zbożone, nie policja, nie komornik w Telechanach, ale poprawienie, oczyszczenie dzieła Michała-Kleofasa Ogińskiego. Kontynuacją – wspaniałą, rozumną, ale tylko: kontynuacją – dzieła wzniesionego przez magnata, hetmana i księcia, feudała szlacheckiej Rzplitej.

Korony dębów szumią nisko, niziutko nad swym rówieśnikiem, kanałem. Kajaki spływają wolno jego wodą. Jakie to dziwne, jaki to dziwny człowiek, Michał-Kleofas Ogiński. Rzeczypospolita zawdzięcza mu dwie rzeczy:

– ten kanał,

– swój Hymn Narodowy.

Właśnie „Słowo” zlekka dworuje z niefortunności hetmańskiego oręża. To prawda. Ten hetman nie był żołnierzem, dzisiejsi generałowie są niezawodnie lepsi. Ale niestety iluż to dzisiejszych generałów i wojskowych zna się na sprawach gospodarczych znacznie gorzej, niż Michał-Kleofas na wojskowych...

Kanał wolno, spokojnie toczy swe wody równo wytkniętym szlakiem. Niema żadnego pomnika Michała-Kleofasa Ogińskiego. Jego ród wygaś nie pracuje tu na krańcach Rzeczypospolitej. Ale każda struga, która się wlewa w ten polski kanał w głuchym kraju szemrze mu sławę, wraz z szumem dębów, nad wszystkie pomniki większą. Ale srebrne trąby pułków armji polskiej, bębny i czynele orkiestr wyrzucają tony jego mazurka. Ale młodzi oficerowie, młodzi żołnierze i podchorążowie prężą się wtedy na baczność, a 33 miljonowy naród odsłania głowy na dźwięki przez niego poraz pierwszy złowione. Rzplitą, która przestała być szlachecką i armję, która stała się zwycięską, prowadzi w przyszłość, jak przeprowadził ją przez burze dziejowe, hymn rusko-litewskiego kniazia.

WŁAŚCICIEL GALERJI PORTRETÓW

Dziś rano jadłem śniadanie w niewielkim, czystym sklepie spożywczym, w którym stoją dwa stoliki, jest schludnie i porządnie. Zegar wskazywał 5 przed dziewiątą, prócz mnie i właścicieli nie było nikogo. Wszedł policjant.

– Flagi u pana niema!

Zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Jakoś nie widziałem jeszcze takiej sceny. Policjant był jakby zawstydzony, właściciel sklepu wyjaśniał:

– To pan dozorca zawsze wywiesza.

– To pan ma wywieszać, pan wie, że tak nakazano, pan chce żebym panu sklep musiał zamknąć – powiedział policjant i szybko wyszedł.

Byłem człowiekiem nietutejszym, co widzieli wszyscy. Nie wiem, czemu wydało mi się, że tym razem stanowczość policjanta była nieco robiona, jak człowiek, którzy krzyczy bardzo głośno dlatego czasem, że właśnie się boi. Wydało mi się także, że policjant akcentuje raczej dla mnie słowa „nakazane” i „musiał”. Że chce powiedzieć, że to nie on nakazuje i że on będzie poprostu musiał.

Była chwila dosyć nieprzyjemna po wyjściu policjanta, ale powoli właściciele sklepów, ona szybciej i bardziej porywczo, on wolniej i ostrożniej przed obcym, poczęli się rozgadywać. Dość już naprawdę tych flag ciągle wywieszanych!

– To pan ma już całą galerję portretów – zażartowałem.

– A mam proszę pana, mam. Wszystkie kazano kupować. Tylko Pierackiego jeden, inne same po dwa.

– Jakto, to portret ś. p. Pierackiego kazano panu kupować?

Człowiek patrzył się na mnie prosto w same oczy. Te oczy nie kłamały.

– A innych mam po dwa. Każą do każdej witryny, a ja mam dwie witryny. Chce pan zobaczyć tę moją „galerję” portretów?

Żona wytaszczyła je ze składziku. Istotnie kupiec miał dwóch wielkich Marszałków. Jeden był w zwykłym mundurze, popiersie, groźne, prawo patrzące oczy, włosy nastroszone. Czy myślał On kiedy, że go każą komuś kupować? Drugi był reprodukcją jakiegoś obrazu, z buławą opartą o jakiś dokument, z uchyloną portjerą czy draperją, z jakąś małą armatką u nóg. Bóg Wojny nabyty z rozporządzenia administracji. Potem było dwóch Prezydentów. Jeden, pamiętam, w czapce marynarskiej, u spodu równiutko wypisanem pismem Prezydenta Rzplitej hasło o polskim morzu. Potem były dwa portrety generała Rydza Śmigłego, znowu je-

den w czapce marynarskiej, drugi w generalskim mundurze. Wreszcie była czarna, z boleśnie skurczonemi ustami, fotografia Bronisława Pierackiego. Czyście pomysleli sobie, że Wasze podobizny będą nabywać z rozkazu?

Galerję zamykał jeszcze ostatni okaz: duży Orzeł Biały.

Ja miałem swojego Orła – tłumaczył kupiec – tu go teraz niema, ale jest w domu. Tego Orła to ja już dawno miałem w domu, a jak przyszła rewolucja to go dałem w sklepie na Trzeciego Maja.. Wtedy tu byli Niemcy, robili Białoruś, ale nic mi nie zrobili. Grano u nas wtedy w resursie „Kościuszkę pod Racławicami”. Ksiądz, który nie żyje, przemawiał, pani Korsakowa śpiewała od fortepianu, a mego Orła dali nad sceną. Teraz orzeł był nieprzepisowy. Powiedzieli mi, że mogę go sobie w domu trzymać, a w oknie na święta musi być przepisowy.

– I Piłsudskiego mąż miał – dodała żona aby nic nie zapomnieć.

– A jakże, z dziewiętnastego roku jeszcze. Jak w Wilnie był, to takich sprzedawali...

– Nikt wtedy nie kazał?

– Kupować? O, wtedy nikt! Wtedy sami kupowali, starczyć nie było można.

Jadłem jeszcze dość długo, więc przyniesiono mi nawet „tamtego” Piłsudskiego z domu. Była to reprodukcja, nie wiele większa od pocztówkowej, starego

portretu Kossaka. Marszałek jest w swej błękitnej kurtce, ma głowę opartą na szabli, dobre, zamysłone oczy. Miałem wrażenie, że ci ludzie prości patrzyli na tego Marszałka coś jakby, jakby, z wyrzutem.

Pokazano mi jeszcze, porządnie poskładane, białe i czerwone bibułki, wstęgi, sztywny papier, pluskiewki, deski, obicie z jakiegoś materiału. Pełne urządzenie dwóch lad sklepowych na wielkie święta, których jest kilkanaście. Wtedy z lady trzeba wszystko wyprzątać. Wtedy, zależnie od święta, wędruje czerwień, biel i kir, wtedy w jednym oknie ukazuje się Marszałek, albo Prezydent, albo Rydz-Śmigły, w innym odpowiednio, a 5 przed dziewiątą policjant sprawdza i może kazać zamknąć sklep.

*

*

*

Sklep był biedny, taniutki, w biednym ubogiem mieście. Właściciel tego sklepu musiał posiadać po dwóch Marszałków, dwóch Prezydentów, dwóch Rydzów-Śmigłych, musiał ponadto – prawda! – mieć Żwirkę i Wigurę oraz Orła. Jakie to przykre, że te nazwiska, nazwiska nieraz oczernione żalobą serdeczną profanowane są nakazami. Jakie to przykre, że się wie, że za temi nakazami stoi napewno ktoś, co te portrety wydaje, drukuje, sprzedaje, że ktoś z tego ciągnie zyski i że zyski te ciągnie i powiększa drogą tych nakazów.

Choćby to nawet szło na nie wiedzieć jak dobry cel, – ileż w tem innej szkody. Gdzie jesteś, o tej godzinie 5 przed dziewiątą każdej uroczystości, święta morza, obchodu, gdzie jesteś wtedy w tem kresowem miasteczku NN, dawna Polsko z 1917? Gdzie jesteś dniu piękny, gdy może byli tu Niemcy, ale „Kościuszkę pod Racławicami” reżyserowała dobra wola narodu, z dobrej woli śpiewała, jak umiała pani Korsakowa, po swojemu, nieudolnie może, ale szczerze przemawiał ksiądz proboszcz, który nie żyje? Gdzie jesteś, dniu jeszcze piękniejszy, gdy Pilsudski zdobył Wilno, a w małym miasteczku nie można było jego wizerunków nastarczyć i gdy jeszcze biedny właściciel sklepiku nie był zarazem, z łaski starosty powiatowego, właścicielem galerji obrazów?

WOLA WŁADZY

Młdy adwokat rzeszowski, za którym uganiałem się bezskutecznie cały dzień, nie mieszka w samym Rzeszowie, ale w pół-wsi pół-przedmieściu zwanem staromieście, podobno przy rodzicach, chłopach. Adwokat nie ma jeszcze własnej kancelarji, a stoi już na czele potężnego stronnictwa ludowego, w powiecie, który jest tego stronnictwa jedną z najpotężniejszych domen. Z nim w pierwszym rzędzie, lub przed nim, przed jego trzydziestu laty, tytułem doktora, pochodzeniem chłopskiem i chłopską energją, będzie jutro defilował tłum większy niż na wszystkich świętach morza w wielkiej stolicy państwa. W rok po przewrocie majowym Roman Dmowski skarżył się na rozproszkowanie społeczeństwa. Młody przywódca stronnictwa ludowego dr. Kloc na rozproszkowanie uskarżać się nie potrzebuje.

Rzeszów, który tyle razy mijamy jadąc z Krakowa do Lwowa i ze Lwowa do Krakowa, jest dziwnem i ciekawem miastem. Wszystko co w nim budowano ongi, budowano na wyrost. Na wyrost, który nie przyszedł. Na wyrost budowano nawet kościoły w Rzeszo-

wie, wspaniałe, wielkie. Na wyrost zbudowali Lubomirscy zamek, od warszawskiego i większy i okazałszy. Dziś zamek podzielono między więzienie a wszelkiego rodzaju sądy, i jeszcze jest tu przestronnie wymiarowi sprawiedliwości i kary Rzeczypospolitej. Do my wybudowano na wyrost, i kartki „do wynajęcia” mówią o wszelkiego rodzaju wolnych lokalach. Na wyrost budowano restauracje, które wszystkie są w najpiękniejszym stylu secesji wiedeńskiej. Przed wojną Rzeszów miał jedenaście legalnych nocnych lokali. „Poco to panu?” – możnaby było zapytać, gdyby Rzeszów był jakimś jegomościem z prowincji. Ale jegomość z prowincji i prowincjonalny gród był kiedyś, przed wojną, czemś więcej. Był miejscem postoju czterech regimentów kawalerji i huzarów, najlepszych, okrytych sławą i szykiem pułków jazdy cesarstwa i królestwa. Miasto żyło wtedy w cieniu dolmanów i ułanek, szamerunków i bufiastych czerwonych spodni, znanych nam dziś z filmów wiedeńskich. Dziesiątki przystojnych Willy Fritschów uwodziło dziesiątki rzeszowskich i importowanych Dit Parlo. W pułkach służył kwiat arystokracji austro-węgierskiej. Zgryźliwy rzeszowianin, zajmujący się hodowlą remontów, twierdzi, że cztery dobre stajnie pułkowe przyczyniły się do podniesienia rasy końskiej w tych stronach, a rasa ludzka nie ucierpiała również na obecności młodych oficerów. Właściciel jednego z ocalałych nocnych lokali, dziś spokojnej mieszczańskiej kawiarni, snobującej się nie-

potrzebnie i z trudem na Warszawę, mówi mi, że miał specjalne piwnice na przechowanie wina. Jego lokal, to była rzeszowska – „tamtego dawnego Rzeszowa” – „Adrja”, „Oaza”. Z jedenastu c. k. kafeszantanów osiem poprzerabiano na sklepy, na składy żelaza, nawet na mieszkania, jedna na żydowski dom modlitwy. Dziwnym istotnie peregrynacjom pośmiertnym uległ wesół lokal huzarskich rozrywek! Być może, dawne divy spotyka się w kruchcie kościelnej lub w domu dla starców żydowskich. Szampan i ułani starzeją się szybko. A gdzie jesteście wy, młodzieży o mundurach piękniejszych od tytułów nawet? Błyszczą w wiedeńskiej Kapuzinerkirche białe „Gedenkatafeln” waszych pułków o skończonej historii.

Przed kościołem farnym Rzeszowa, na niewielkim placu, widnieje pomnik innego smukłego oficera, oficera w ich chyba wieku, może młodszego jeszcze. Oficer pieszo z wzniesioną szablą prowadzi do nieznanego ataku niewidzialne zastępy, a napis pod pomnikiem mówi, że wywiązał się znakomicie ze wszystkich zleconych mu misyj, że padł na polu walki w r. 1919 jako dziewiętnastoletni dowódca pułku. To był wiek szlifów generalskich Hoche’a i Murata, marszałkowskich niemal – Junota. Gdyby któryś z dawnych huzarów przybłąkał się kiedyś do Rzeszowa, pomyślałby może, że był to wiek, w którym założyciele jego pułków, Eugenjusze Sabaudzcy, Montecuccoli i arcyksiążę Karol spod Aspern kładli także swoje fundamenty przewag

pod cokół, na którym kiedyś dziedzice pułkowej sławy mieli pięknie obnosić barwne mundury wielkiej gali. Ale z tamtego świata się nie wraca, i pogrobowcy cesarskiego pułku huzarów już nie wróca. Być może, nie poznaliby nawet bohatera pomnika, choć w rozjazdach ćwiczebnych na błoniach podmiejskich musieli go nieraz spotykać, gdy on, chłopski syn z Kosiny, Kula, jeszcze nie pułkownik, nie bohater, nawet nie Lis, ćwiczył innych wiejskich chłopaków na przyszłych oficerów armji nie istniejącego jeszcze państwa, jak dzisiaj innych chłopaków ćwiczy mecenas Kloc.

Jutro jest dzień święta ludowego, 15 sierpnia. Dziś wieczorem zapłoną ognie po wsiach, a jutro masa chłopska od Sanu po granicę czeską i dalej wgórę Wisły i mapy będzie demonstrowała swoją wolę. Będą to Nowosielce, odnowione w dziesiątkach miejsc, w dziesiątku odbitek. Masa chłopska przedefiluje w cieniu wież królewskich zamarłego Wawelu, w cieniu rzeszowskiego zamarłego zamku królewiat magnackich, w cieniu dawnego miasta cesarsko-huzarskiego, u stóp barokowych kościołów Jarosławia, przed zagrodą chłopskiego premjera Rzeczypospolitej. Będzie rozpie-rała ulice tych miast, przypomni już nie jednego Pyrra z XVII w., ale dziesiątki tysięcy Pyrzów z 1920 r., i w imię tych Pyrzów postawi swoje żądania.

— — — — —

Pozostaliśmy sceptyczni wobec niedawnych zapewnień „Piasta”, głównego organu najpotężniejszego stronnictwa ludowego, że chłopi przede wszystkim nie chcą dziś ziemi, ale chcą praw. Nie chce nam się w to wierzyć. Zgóry zakładamy że chłop jest materialista, zgóry sprowadzamy całość jego postulatów do jednego tylko: do *gruntu*. Ale do Rzeszowa nie przybyłem z Warszawy. Przez dziesięć dni chodziłem po wsiach Małopolski zachodniej i środkowej, na Podhalu, w Tarnowskiem. Rozmawiałem z chłopami starymi i młodymi, z działaczami, z dziewczętami. Wszystkie odpowiedzi, ludzi różnego wieku, zamożności, przekonań, układają się tak samo. Kiedyś myślałem, że wieś chce ziemi, reformy rolnej bez odszkodowania. Potem myślałem że chce straganów, miejsca w mieście, w miasteczku. To wszystko jest zepchnięte teraz na dalszy, najdalszy plan. Wieś rozumie że jej potrzeb, potrzeb dziesięciu milionów „ludzi zbędnych” na roli, potrzeb przybywającego rocznie pół miliona kołosek, nie zaspokoi ani resztką gruntów ziemiańskich, ani obecna ilość straganów czy sklepów. Wieś, która bardzo powoli, ale najwyraźniej wychodzi dziś z kryzysu lat ubiegłych, — och, nie ze stałego swego kryzysu, — wieś która jest dziś silniejsza i *mniej głodna* — nie możemy powiedzieć: bardziej syta — niż w r. 1933, ta wieś jest bardziej stanowcza i harda w stawianiu swych żądań.

Wieś nie żąda ani kolchozu ani falansteru socjali-

stycznego, nie żąda tego coby można nazwać zasadniczą zmianą ustroju. Nie chce, aby ją ktokolwiek i jakkolwiek uszczęśliwiał. Wieś chce ni mniej ni więcej stać się warstwą rządzącą Rzeczpospolitą, tak jak się to stało w Danji, Czechosłowacji, na Łotwie, w Estonji, Finlandji. Ostatni wielki kraj w Europie, który jest chłopski przez skład swej ludności, chce stać się chłopskim przez skład swej warstwy rządzącej, swego rządu. Warstwą rządzącą w Polsce jest inteligencja, inteligencja miejska. Po raz pierwszy, przeciw warstwie ziemiańskiej, upominała się ona o rządy pewnej nocy listopadowej 1830 r.; Nabelakowie, Goszczyńscy, Mochnaccy – to byli ci ludzie nieposesjonaci, dla których konstytucja Królestwa Kongresowego nie raczyła wyznaczyć miejsca. Potem wzrastały miasta, potem na rzecz miast likwidowała się warstwa ziemiańska, potem przyszły legjony, obrona Lwowa, Radzymin, armja ochotnicza, tłumny udział w niej młodzieży. Na krótki okres warstwa inteligencka stała się istotną warstwą rządzącą w Polsce. Zadań, jakie przed nią stanęły, rozwiązać nie zdołała. Stworzyła przeogromną moc urzędów. Warsztatów pracy nie stworzyła.

Wszystko coby się dzisiaj ofiarowało wsi, wydawać się jej będzie podstępem, odwróceniem uwagi, paljatywem. Poczucie siły wzrosło w masach ogromnie. Połączyło się z poczuciem zdolności do rządzenia, z poczuciem że władza jest czemś co się jej, w sposób naturalny, należy.

Rok 1936 nie jest rokiem historycznym przez to, że mieliśmy te czy inne zmiany rządów, taki czy inny proces na Śląsku, wyniki olimpiady czy aferę Parylewiczowej. Rok 1936 jest jednak historyczny, t. zn. że w dziejach Polski ma swój wyraźny sens przez to, że po raz pierwszy w tej sile i tak powszechnie, pewna klasa, dotąd nie mająca udziału w rządach, o ten udział się upominała.

W w. XII i następnych walczyli o to samo praelati et barones, duchowni i świeccy panowie-rada królewscy, ci co zaczęli stanowić o tronie krakowskim, zmienili następstwo tronu w starszej linii Krzywoustego, przeprowadzili wydziedziczenie Piastów śląskich i mazowieckich po śmierci Kazimierza Wielkiego, nie dopuścili Wilhelma Rakuskiego, wybrali Jagiellę.

W w. XV walczyła o to samo rzesza szlachecka statutami nieszawskimi i przywilejami Olbrachta i na długi ciąg wieków wygrała tę walkę.

W w. XIX walczyła o to młoda, rodząca się warstwa inteligencka, i przejąwszy dziedzictwo po zlikwidowanej jako odrębna klasa społeczna warstwie ziemiańskiej, zajęła pierwsze miejsce w narodzie.

W czwartym dziesięcioleciu XX w. walkę o swoje następstwo u władzy podjęła w formie masowej i powszechnej warstwa chłopska. Po raz pierwszy toczy się w Polsce walka analogiczna do europejskich walk XIX w. o demokratyzację. Nasza demokracja po r. 1918 nie była zdobyta. Przyszła ona bardziej jako re-

zultat wyników wojny na Zachodzie, zwycięstwa idei, reprezentowanych przez Francję i Amerykę, niż jako dorobek naszej własnej walki. Może dlatego nie umiała się utrzymać: przecież przewrót, niewątpliwie mający charakter dyktatorialny, cieszył się zrazu poparciem wielu grup lewicy demokratycznej. Takie pomyłki były możliwe tylko w kraju gdzie ustrój demokratyczny zjawiał się niemal jako produkt uboczny walki o wolność. Ale też od paru lat zarysowała się wyraźna walka o to co w każdym innym kraju nazywało się demokracją. Mętność, niewyraźność wszystkich terminów w Polsce, pozwalała długie lata „godzić” pojęcie demokratyzmu z dyktaturą. Zdaje się, że to godzenie staje się nawet u nas coraz mniej możliwe. Najsilniejsza liczebnie masa chłopska, żąda szczególnie wyraźnie tego samego, czego od króla domagało się kiedyś szlacheckie pospolite ruszenie w Cerekwicy. Trzeba powiedzieć, że szlachta z XIV w. żądała tego *przed* wyprawą wojenną, chłopci upominają się o to *po* wyprawie.. Bo rok 1920 jest na wszystkich ustach.

Mało kto się może zastanowił nad tem świętem, do którego zbierali się chłopci na tygodnie, o którym mówiono przy żniwach, przy pierwszej orce, przy młócce. Uważamy naszą walkę pod Radzyminem za tak słuszną, tak naturalną! W oczach Zachodu nie zawsze tak wyglądała. W oczach Zachodu była bardzo często uzasadnieniem do nazywania Polski żandarmem Eu-

ropy, najemnikiem kapitalizmu, parobkiem obcych mocarstw. Dla naszych komunistów chłop z armji ochotniczej był jakimś wyolbrzymionym Bartkiem Zwycięzcą, który jak tamten spod Gravelott, walczył nie tylko za sprawę sobie obcą, lecz wręcz za wroga, przeciw władzy robotników i chłopów. Z perspektywy lat szesnastu, które dla tych mas były – przyznajmy to – latami nędzy, masy te nie patrzą na tamtych swych bohaterów jak na nieświadomych, zbłąkanych Bartków. Patrzą jak całe pokolenia szlacheckie patrzyły na rycerzy spod Grunwaldu, inteligenckie na Łukasieńskich i Ściegiennych. A bardzo, bardzo łatwo mogłoby być inaczej.

— — — — —

Masa chłopska żąda władzy. A to, czego żąda prócz władzy, musi być w dalszym toku zaspokojone nowymi, ogromnymi warsztatami pracy, jakimś sowiecko-amerykańskim rozwojem przemysłu, ale musi być także nim nastąpi tamto, zaspokojone kosztem wszystkich w Rzeczypospolitej. Stanie się to nie tylko kosztem folwarku pańskiego, żydowskiego straganu, stanie się to kosztem miasta, urzędnika, inteligenta. Możemy się przed tem bronić. Możemy petentów odsyłać do sąsiada. Dwór do straganu, stragan do dworu. Nie wiem czy to się na co przyda. Ale możemy także z ogólnego, państwowego, historycznego stanowiska starać się

rozważyć, czy ten stan, który chce władzy, może w interesie państwa ją sprawować. Czy problemy, które będzie miał do rozwiązania, będzie najpierw rozumiał, a potem umiał rozwiązać.

Niestety, my inteligencja, mamy najfatalniejsze przygotowanie do znajomości chłopów. Jako klasa nie wyrosliśmy z niego. Poznańskie jest pod tym względem oazą, oazą, która ginie w ogólnym obrazie pustyni. Pochodzimy z dworu i dworku, pochodzimy z żydowskiego miasteczka, pochodzimy od niemieckiego przybysza. Chłop w naszej literaturze, jak to słusznie pisała p. Marja Dąbrowska, jest stworem, który modli się, tańczy i śpiewa. Czasem bywa nadczłowiekiem, A tymczasem chłop wyrósł. Jest zwykłym, poprostu, człowiekiem.

W poznańskim chłop miał dobrobyt, gruby, materialny. W Kongresówce nie miał nic. Tam oblicze wsi jest najbardziej tajemnicze, zagadkowe i chmurne. W Małopolsce była nędza, ale z tą nędzą przyszedł wcześniej parlamentaryzm, chłopscy posłowie i stronnictwa. Stapiński, polskie szkolnictwo powszechne. W Małopolsce oblicze polityczne chłopów jest najwyraźniejsze, mowa jego postulatów najbardziej prosta. Ten chłop wie o wiele więcej niż to, co byśmy mogli sądzić o jego ojcach, tych ze „Skalnego Podhala” i „Wesela”. Można z tymi ludźmi mówić najzwyczajniej o deflacji i inflacji, o bilansie handlowym, o wpływie takich czy innych posunięć na położenie gospodarcze.

Można z nimi mówić o wszystkim, i mają oni o tem swoje głęboko uzasadnione zdanie. Ludzie ci znają zagranicę lepiej niż niejeden inteligent. Znają ją głębiej. Wielu z nich spędzało całe lata w Niemczech, wielu powróciło z Ameryki, wielu mieszkało we Francji. Daje to zapas obserwacji, których nie da nikomu już nie bona zagraniczna, ale nawet lektura, nawet wycieczka „Orbisu”. Gruntowną znajomość zdołu. Obcowanie z bardziej wyrobionymi społecznie masami krajów Zachodu. To jest kontakt z temi krajami, jakiego nie było w romantycznej epoce Lolki Bobrówny.

Te rzeczy są ważne, ale te rzeczy jeszcze nie mogą przesądzać o tem czy dana warstwa dorosła do rządów krajem. Bo nie ludźmy się, że będziemy wtedy, gdy ona dojdzie do władzy, rządzą obok niej. Zostaniemy fatalnie odepchnięci nabok, może jak dawna rada królewska średniowiecza, może gorzej niż miasta Jana Olbrachta. Właśnie miasta. Otóż najniewątpliwiej mieszczenie krakowscy średniowiecza byli najwykształceńszą warstwą w ówczesnej Polsce, i niewątpliwie z tego tytułu mieli więcej praw do władzy niż władcy Łokietka. Byli jednak warstwą dla kraju obcą, i na własne i nasze nieszczęście prowadzącą politykę w imię interesów obcego – użyjmy dzisiejszego szablону – mocarstwa. Bunt wójta Albrechta był nie tylko ruchem socjalnym, był ruchem narodowym i ruchem obcym, proniemieckim. Taka warstwa nie mogła bez szkody państwa dojść do władzy. Gdyby doszła, Kra-

ków podzieliłby los Wrocławia. Ale oto świętem chłopskiej warstwy, zarazem jej legitymacją do rządzenia, jest dziś wojna toczona z obcymi. Wojna, o której nie jeden będzie twierdził, że przecięła bagnetem żołnierskim wiekowy splot sprawy polskiej ze sprawą rewolucji światowej.

Czy piętrzące się przed nami zagadnienia państwowe potrafią chłopi rozwiązać, to inna rzecz. Zagadnienia te jednak rozumieją. Czy potrafią się wznieść na stanowisko ponad-klasowe? Powiedzmy że przyjdzie im to trudno, ale żadna warstwa rządząca nie była w historii wolna od podobnych grzechów. Myśmy tych zagadnień rozwiązać nie potrafili. Nie uczyniliśmy tego ani w erze parlamentu, ani w erze silnej władzy. Dziś, po chaotycznym rozparcelowaniu milionów hektarów, sytuacja na wsi jest gorsza niż była. Trzeba będzie tych ludzi dopuścić aby to uczynili sami, a nam pozostanie jedynie troska, aby ten wielki proces przyszedł jak najprędzej, odbył się najbardziej zbliżenie do wzorów Zachodu, nie został zamacony w sposób, któryby się odbił na sile, może nawet na bycie, naszego państwa. Nie jest to staranie małe i praca łatwa, ale jest to praca, która ma jeszcze wszelkie szanse powodzenia i z którą nie można zwlekać.

— — — — —

Oto z błonia podmiejskiego przeszli olbrzymim pochodem chłopi, rzeszowska masa chłopska defiladą ludowego święta, wybranego przez nich, kończącego się poza granicami tego kraju, polskiego święta. Nigdzie nie widzi się u nas takich mas jak na tych chłopskich uroczystościach. Przeszli przez miasto burzą. Wołali: „Precz ze szlachtą!”, „Precz z Żydami!”. Ta „szlachta”, to nie tylko kontuszowe postacie. To, jak ci Żydz, i miasto i inteligent, biały kołnierzyk, krawatka. Niechęć do Żyda jest gospodarcza. Niechęć do ziemianina przechodzi coraz bardziej, z każdym rozparcelowanym folwarkiem, z gospodarczej – w polityczną.

Trzeba zrozumieć, dlaczego opada, stygnie tamta, rodzi się ta. Otóż najniewątpliwiej obszary dworskie skurczyły się w sposób bardzo znaczny i nędzy chłopskiej mało w czym ulżą. Ale w ciągu ostatnich lat drogi polityczne ziemianina i chłopa, nigdy zbyt bliskie, rozeszły się bardzo silnie. Ziemianie przystali do obozu Piłsudskiego. W swej większości dwory uczyniły to dla zasady, niemal mistycznej, że rząd polski, rząd głoszący naprawę ustroju, rząd z bohaterem niepodległości na czele, trzeba bezwzględnie poprzeć. Wieś poszła inną drogą. W wielu wsiach w słotne dni ostatnich wyborów, jedynym człowiekiem, który pod niechętnymi spojrzeniami milczącej wsi siedł spełnić obowiązek wyborczy, był ziemianin, nauczyciel. Ludzie ci nie mają żadnego wpływu na wsi. Ludzie ci – i ze szkoły i

z dworu – uważani są za ludzi trzymających z miastem.

Trzeba pamiętać, że interes zawodowy skłaniał ziemianina do zajęcia postawy przeciw rządowi, które dla rolnictwa były ciężkie, że głosując, popierając, ziemianin ten przekreślał własny interes. Ale trzeba pamiętać, że ziemiaństwo przestało już być klasą, że musi więc do którejś z istniejących dziś klas przystać. Stojąc za rządami pomajowymi, zwłaszcza w ich ostatnich etapach, ziemiaństwo wybrało miasto, i prowadzenie innej polityki niż wieś, skupiło na niem niechęć już nie tę jaką czuje biedny do bogacza, ale tę, którą się czuje do politycznego przeciwnika. Grupa inteligencji miejskiej, która podtrzymywała kontakt z masami ludowymi, profesorzy jak Kot i Marchlewski, stali się tymi, do których uświadomiona wieś małopolska posiada zaufanie. Zamiast możliwej współpracy chłopsko-ziemiańskiej, powstała współpraca chłopsko-inteligentcka, oczywiście częściowa. Wydaje mi się, że warstwą, która będzie musiała najwięcej zrzec się ze swego stanu posiadania w wypadku objęcia władzy w państwie przez warstwę chłopską, będzie jednak właśnie ona, bardziej niż dwór, bardziej niż stragan. Niemniej ta garstka inteligentów, która współpracuje z chłopami, ci Kotowie i Klocowie, spełniają może najważniejsze dziś zadanie: przeprowadzenia przejścia władzy od jednej warstwy do drugiej, służenia pomocą wiedzy i doświadczenia ludziom nowym. Bo przecież takie

przejście będzie, mimo możliwości pokojowego przebiegu, bardzo głęboką orką rewolucji społecznej.

Takie przejście dokonało się kiedyś, w ponurych dniach klęski niemieckiej, w 1918 r. Ostatni kanclerz cesarstwa, książę Maks Badeński, stanął wtedy na przeciw trybuna ludu, socjalisty Eberta. Człowiek, którego świat się załamał, myślał jednak nie o klęsce swej warstwy, ale o tem co przekazuje innej klasie. „Panie Ebert” – powiedział, – oddaję panu władzę w Niemczech. Oddajemy tem Panu Niemcy”. „Książę, – brzmiała odpowiedź Eberta, – ja dla Niemiec dałem dwóch moich synów”. U stóp cesarskiego pałacu tłumy witały narodziny republiki, ale republika nie oznaczała – stoczenia się w przepaść.

SPRAWA O GARNKI,
PRZY DRZWIACH OTWARTYCH

W sprawie niniejszej występuje najpierw jeden oskarżyciel, który zresztą osobiście nie jawił się na rozprawie, i którego oskarżenie znamy tylko ze streszczenia, popartego i rozszerzonego przez znaną literatkę i świetną tłumaczkę Londona, panią Stanisławę Kuszelewską. Pani Kuszelewska pisze w „Gazecie Polskiej” najsamprzód tak:

„Polskie radio nadało 11-go b. m. świetny raport p. Z. Skierskiego pod tytułem: „U garncarzy w Horodnie“. Z rzeczowych i prostych słów prelegenta, nie barwionych żadną tendencją, a tylko czasem podkreślających tonem głosu głęboką treść społeczną tych obserwacji, dowiedzieć się mógł uważny słuchacz rzeczy napozór drobnych i małoważnych, które jednakże pozwolę sobie uznać za — wstrząsające. Mianowicie: cała ludność osady Horodno na Kresach, trudni się z dawien dawna wyrobem garnków glinianych. Garnki te, skupowane są przez miejscowych handlarzy i pośredników po sześć (wyraźnie sześć), groszy za sztukę. Pośrednicy organizują „we własnym zakresie“ polewanie

tychże garnków, poczem sprzedają je hurtownikom, biorąc po... 25 groszy od sztuki. Chłopów nie stać na materiały, potrzebne do robienia polewy, zrzęzić się sami nie optrafią, to też od wielu lat biernie i posłusznie żyją w tej nowoczesnej pańszczyźnie. Garncarzy liczy Horodno i okolica około czterech tysięcy. Handlarzy i pośredników — osiemnastu ludzi. Garncarze żyją w ostatniej nędzy. Cena 25 groszy za garnek byłaby dla nich bogactwem. Polewę robić umieją. A jednak — idjotycznie i beznamiętnie pozwalają się doić“.

Mamy więc klasyczny obraz wyzysku, a że przy tem, co za chwilę zaznaczy pani Kuszelewska, dowiemy się, że cztery tysiące garncarzy należy do narodowości białoruskiej, zaś osiemnastu lichwiarzy do żydowskiej, cały aspekt problemu żydowskiego. Mamy zaś narazie obraz działalności starostwa :

„Zlitowały się wreszcie nad nimi władze starościńskie. Zakupiły większą ilość materiałów do robienia polewy. Założyły spółdzielnię wytwórców. Więcej, zbudowały dla tej spółdzielni duży, specjalny dom. Aliści, już na pierwszym jarmarku hurtownicy oświadczyli, że garnków polewanych w spółdzielni nie kupią wcale, nawet za tańszą cenę, a na przyszłość wymagać będą (zgadnijcie państwo!)... Kartki, że garnek otrzymał po-

lewę z rąk „powołanych“. Wobec tego, spółdzielnia zakończyła sromotnie swój bezpłodny żywot, po czym zapanował status quo ante: bezprzykładna nędza chłopa poleskiego i brutalny wyzysk pośredników.“

Powiedzieliśmy, że powództwo zostało przez panią Kuszelewską rozszerzone. Istotnie, nie chodzi jej już o samo Horodno. Cała Polska jest wielkiem Horodnem, czterema tysiącami garncarzy, osiemnastoma wyzyskiwaczami :

„Los garncarzy horodeńskich nie jest odosobniony. Jest raczej symptomatyczny, niż sporadyczny. Historia wszystkich przemysłów chałupniczych w Polsce to jeden ciąg podobnie ponurych i wstrząsających anegdot. W nieco innej formie powtarzają się one w innych dziedzinach życia poleskiego, głównie na Kresach wschodnich. W handlu zbożem, drewnem, bydłem, koźmi, nabiałem, drobiem, rybami, owocami futrami, ubraniem“.

Przed sądem oskarżyciel występuje z wnioskiem, powództwo składa swe żądania. Pani Kuszelewska czyni to istotnie ze wszystkim znastwem procedury sądowej :

„Wiadomo, że Palestyna nie jest dziś spokojnym terenem kolonizacyjnym, ale znane są również ostatnie

posunięcia angielskie, zmierzające do jej uspokojenia. Znana jest również potęga pieniądza, którym rozporządzają poważne czynniki żydostwa międzynarodowego i wiadomo, że dla pieniądza... świat nie kończy się na Palestynie. Wiemy też, jak wielkiej pracy gospodarczej i kulturalnej dokonali Żydzi np. w Tel-Awivie i jak odradzają się we własnej siedzibie.

Przed Polakami i Żydami leży ogromna praca do podjęcia i przeprowadzenia. Składa się ona — dla władz państwowych — z szeregu wewnątrzno-politycznych zarządzeń, jako też z zewnątrzno-politycznych środków. Dla społeczeństwa zaś: z powstrzymania się od wzajemnych krzywd i z — decyzji rozstania“.

Wszystko to jest niezwykle wyraźne, przejrzyste i ściśle. Są jednak sprawy sądowe, które wymagają wizji lokalnej, a ludzi znających nieco Polesie, pewne zbyt przejrzyste punkty tej sprawy szczególnie zainteresowały. Wizja lokalna odbyta na własną rękę, dała też interesujące rezultaty, a przedewszystkiem nie ustaliła żadnych śladów pobytu tamże p. Z. Skierskiego, oskarżyciela prywatnego nr. 1. Być może, że ankietę prowadził via powiatowe miasteczko Stolin, w każdym razie jeśli tu był, prowadził swe poszukiwania z dyskrecją tak zupełną, że nawet panu Janowi Kisielowi, miejscowemu kierownikowi niedoszłej czy raczej załamanej spółdzielni, nic nie jest o nim wiadome.

Natomiast udało się ustalić następujące rzeczy.

Przedewszystkiem przyjdzie się skrócić znacznie bardzo cyfrę ludności lepiącej garnki a podanej zarówno przez p. Skierskiego — jak też — o co nie mamy żalu — przez p. Kuszelewską. Po pierwsze bowiem, wyrób garnków jest skoncentrowany w samym Horodnie, nie w „okolicznych wsiach.” Jedynie kilka bardzo dalekich już chutorów, ponad 10 km. zajmuje się we własnym zakresie lepieniem i sprzedażą garnków i to niezależnie od żydowskich polewaczy czy sprzedawców rodem z Horodna. W tych warunkach nic dziwnego, że liczba zajmujących się tą pracą, a więc wyzyskiwanych nie wynosi 4,000, ale o jedno małe zero mniej, 400, jak o tem powiadomili niniejszej badającego, zarówno kierownik niedoszłej spółdzielni, jak i miejscowy posterunek policji. Oczywiście proporcja 18 do 400 — bo cyfra 18 polewaczy była jednak prawdziwa — jest proporcją innego rodzaju niż 18 : 4,000.

Są pewne nieścisłości, zarówno dogodne jak niedogodne dla też p. Skierskiego. Dogodną będzie najpierw ta, że garnek palony, ale niepolewany można dostać nie za sześć, ale za trzy grosze. Niedogodną, że garnek po polewaniu dokonywanem przez Żydów kosztuje 10 i 20 groszy, i że za tę cenę nabywa się go już nietylko hurtownie, ale i detalicznie w samym Horodnie. Być może zresztą, że o cenie garnka, dowiedział się p. Skierski w Stolinie, ale wtedy trzeba w to wkalkulować cenę przewozu, która przecież istnieje, zarobek kupca, który powietrzem nie żyje, co last not least cenę

garnka podraża. Są to wszystko jednak rzeczy pomniejsze, wspomniane tu jedynie dla manji kolekcjonowania nieścisłości. Natomiast jest jeszcze inna, interesująca okoliczność. Oto, że kilkunastu chłopów, wypalaczy garnków, trudni się we własnym zakresie ich polewaniem, unikając więc w ten sposób pośrednictwa żydowskiego. Bardzo piękne polewy ma pod tym względem mieszkaniec Horodna Mikołaj Wieczorek, zwany popularnie Zajacem. Istnieje więc, jak widzimy, gruba szpara, przez którą można uciec przed wyzyskiem żydowskim. Nie należy jednak sądzić, że polewanie jest zwykłą formalnością. Jestto rzecz trudna, a w warunkach poleskich jeszcze i kosztowna, wymaga osobnego pieca, materiałów służących do polewania, wprawy. To też jest rzeczą charakterystyczną, że Białorusini posiadający własne polewalnie, zadawalniają się polewaniem własnych wyrobów, nie starają się ogarnąć szerszego rynku. Najwidoczniej praca ta tak bardzo opłacalną nie jest, a koszt garnka jest raczej podrożony kosztami wywozu i przewozu, niż kosztem polewania. Pamiętać należy, że czterystu ludzi siedzących w jednym miejscu lepi garnki, że na Polesiu zaludnienie jest nikłe, drogi złe, że więc przy takiej konkurencji wspaniałych widoków rozwoju ten przemysł pewnością nie ma.

Sprawa bankructwa spółdzielni, przedstawia się w tych warunkach w sposób, który mógł raczej skłonić inicjatora, powiatowy sejmik stolinki, do nierozgłasza-

nia swojej niewątpliwie chluby przez megafony radiowe. W osadzie gdzie było już kilkanaście pieców, gdzie cena glinianego garnka (ukręcanego z gliny w ciągu mniej niż 10 minut) naskutek polewania wzrastała o kilka groszy, (zarobek sprzedawcy – osobno!) postanowiono wybudować nowy, wielki piec, ogrzewający garnki w specjalnie precyzyjny sposób, by wyeliminować owych kilka groszy od garnka, zarobek kilkunastu istniejących idących warsztatów, sposób zarabkowania i wyżywienia ich rodzin, zapewne jednej piątej, może i więcej ogółu mieszkańców i tak nędznego miasteczka. Wedle wskazań fachowca z Warszawy, wybudowano cały zakład, łącząc na to 15 tysięcy. Są od tego większe inwestycje w Polsce, ale w najdalszej okolicy Horodna ich niema. Inwestycja była oparta na pewności, że chłopci przystąpią do spółdzielni, ale chłopci przystąpić do niej nie chcieli, przyrzeczenia udziałów powycofywali. Kierownik spółdzielni, naturalnie zawiedziony, jest zdania, że Żydzi przestrzegali ich, że upadek spółdzielni pociągnie dla nich konieczność pokrywania kosztów, odpowiedzialność do wysokości wkładów. Chłopci nie chcieli ponosić odpowiedzialności za 15.000 złotych. Ostatecznie wieś miała wiele przykładów bankructwa spółdzielni. Być może, że słuszniejszym byłoby postępowanie w odwrotnym porządku: żeby najpierw chłopci chcieli spółdzielni, potem sejmik wsparł tę akcję. Zjechawszy o paręset kilometrów bardziej na Wschód Polski, można odnaleźć kraj, gdzie

nieraz chłopci chcieli spółdzielni, ale starostwo ją zamykało. Trzeba żeby starostwa ustaliły swój stosunek do spółdzielczości.

Tuż pod Horodnem jest mały majątek. Jego właściciel chciał ze swej gliny produkować dachówki. „Kripicza” jednak się nie powiodła. Wbrew przestrogom ludzi tutejszych, wybudowano piec, w którym dachówki, zrobione z gliny o dużej przymieszce szkła, gięły się w rogach. Fabrykacja postępowej „kripiczy” się nie powiodła, piec stoi, dawne piece dymią. Być może, że coś podobnego było i z piecem sejmikowym, bo znowuż nie Żydzi, ale miejscowi polewacze prawosławni, drwią z jego inicjatorów, twierdząc, że łamały się w nim garnki dane do polewania. Nie zdziwiłbym się jednak, by osiemnaście pieców żydowskich i kilkanaście prywatnych białoruskich broniło się przed konkurencją, i miało łatwą obronę, skoro zarobek na garnku wskutek polewania nie zwiększał się jak 6 do 25. Stwarzało to między innymi bardzo nikle możliwości opłacalności tych piętnastu tysięcy złotych.

Wszystko to więc stoi, z miejsca się nie rusza. Żydzi skarżą się na utrudnienia w nabywaniu roli, w fabrykacji garnków, skarżą się, że w ślad za nieudaną gospodarczą działalnością sejmiku idzie skuteczniejsza działalność karnetu z grzywnami. Szkoda, że przychodząc z pomocą Horodnu nie pomyślano raczej o tem jak wywołać zainteresowanie jego wyrobami z gliny, uszlachetnić je, zakupywać dla bazarów ludowych

w miastach, wobec nikłego, spowodu konkurencji, odległości od dróg, skąpości zaludnienia Polesia, zainteresowania garnkiem jako naczyniem użytkowem, stworzyć z niego przedmiot sztuki ludowej, tani a zdobniczy. Targi Poleskie na których niestety nie było garnków horodeńskich, nadawały się do tego znakomicie. Sejmik Stoliński mógł poszukać rynków zbytu dla Horodna, mógł je znaleźć. Wolał pójść na teren kosztowniejszy, źle obliczony w możliwościach, przegrał. P. Skierski woła o wstrząsającym wyzysku żydowskim. P. Kuszelewska otwiera wrota Palestyny. Zdaje się, że jeśli wnioski tych państwa były oparte jedynie na Horodnie, to należy, po stwierdzeniu zbyt wielu nieścisłości ich relacji, niezgodnego z rzeczywistością przedstawienia zasadniczych dla sprawy momentów (— 4000 zamiast 400, wyłączność polewalni żydowskich, gdy są i nieżydowskie, połączenie w jedno zarobku hurtownika i polewacza, podniesienie ceny garnka w Horodnie, względnie zacytowanie jako tej ceny garnka w Stolinie odległym o 20 km.) powództwo umorzyć, wnioski o skarżenia uchylić, a koszty sądowe w postaci specjalnej jazdy na miejsce dostarczyciela niniejszych danych, rozłożyć proporcjonalnie na Polskie Radio i „Gazetę Polską.” Czy zaś przeciwko sejmikowi stolińskiemu nie należy wytoczyć powództwa o złe gospodarzenie miem publicznem i wadliwe przystępowanie do polepszenia bytu ludności, to już inna sprawa. W każdym razie należy mu raczej doradzić pracę nad wyszuki-

niem nabywców na garnki, samemu nie polewać. Urzędnicy coprawda nie święci, ale garnków lepić, jak się okazuje, nie potrafią.

O WÓZ I O KONIA

Chcecie wiedzieć jak to wygląda? Więc najpierw jest długa, gnąca się przez wzgórze dolina, z zielononiebieską Solą płynącą jej dnem, z domami stojącymi – jakże niemądrze! – blisko wody, z lasami przerywanymi przez zbocza górskie, z dalekimi łysinami polonin. Rzeka przelewa się z szumem po kamieniach, aż naraź skręca w bok w jakieś kanały czy śluzy, a tymczasem tam gdzie było jej główne koryto wyrosły olbrzymie szare bloki. Bloki ujęte są w drewniane szalowania, ale już teraz można poznać, że odpadną one z nich deski po desce. Jeśli podejdziesz bliżej, widać że dwa mury cementowe wparto tu w dwa zbocza górskie, że między każdym z tych bloków wolna jeszcze przestrzeń zasklepią się coraz bardziej, że rosną mury, które zabudują pozostawione tu dotąd przełęcze. Chcecie wiedzieć, jak to się robi? Więc co pół minuty zjeżdżają po kolejce linowej wagoniki z masą betonu, wielki stalowy żóraw spuszcza pęki desek i belek, a robotnicy rzucają się na to, rozprowadzają, unoszą. Z ulepionych już z betonu ścian sterczą gęsto stalowe pręty. To kości, wokoło których narosnie nowy mięsień betonu. Beton, który już zasycha, zlewa się wciąż wodą, żeby

pozostał jeszcze niestwardniały, żeby nowe nakładane warstwy spoiły się ze starami, pogrubily i podwyższyły to co już jest. W ten sposób powstaje olbrzymi mur, biegnący linią prostą poprzez koryto Soły.

Chcecie jeszcze wiedzieć, skąd dzwiga się ta ogromna szara masa, ten monolit betonu? O dwieście metrów stąd kopie się w łóżysku Soły żwir, szuter, kamienie. Wszystko razem wędruje przez skomplikowany a prosty system walców, sit obrotowych i pasów transmisyjnych, podających sobie ten materiał coraz wyżej i coraz dalej. Wchłania go prawdziwy młyn, wielki gmach drewniany na pięć pięter. Kamienie idą coraz wyżej, a jednocześnie stają się coraz mniejsze, wreszcie dochodzą na najwyższe piętro zgłajchsztaltowane na mial kamienny. Cała budowa drży od tego przemiału kilkunastu żaren. Tu nagórze dokonywa się przemieszanie z worami cementu i strugami wody. Zależnie od potrzeby twardości i zwartości miesza się główne składniki betonu. Kamienne ciasto wędruje stąd na zapórę, osiada na stalowych prętach, krzepnie wreszcie w twarde bloki, dość mocne aby ich nie wzruszył ogromny napór wód, które spiętrzy przysła zaporą. W powietrzu nieustanny zgrzyt wagoników, spuszcza się i podnosi żóraw, łomocą młoty, trzeszczą miażdżone kamienie. Huk i pył unoszą się nad całym dnem Soły, przekopanem, rozciętem olbrzymią ścianą, która tu rośnie coraz szybciej. U stóp wielkiego bloku można przejść swobodnie przez otwory przyszłych turbin wod-

nych. Ze szczytu zapory widać daleko dolinę. Można już dziś odgadnąć rozmiary przyszłego jeziora. Aż do siedmiu kilometrów stąd spiętrzy się Soła na wysokość 22 m. zaleje te domy przed nami, tamte wsie, pola, ogrody, sady, drogi. Tę nową szosę budowano umyślnie tak wysoko, wrzynając ją w las i zbocza, żeby nie podmyła jej woda. Ludzie będą musieli stąd odejść, nawet już odchodzą.

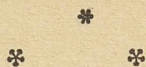
Tak wygląda dziś jedna dolina podgórska, na Śląsku Cieszyńskim, za Żywcem. Zapora w Porąbce będzie gotowa już tej jesieni. Wody Soły zaleją to wszystko za mniej niż rok. O sto kilometrów bardziej na wschód, w głębi innej doliny, pod Sączem, w Różnowie, buduje się drugą zapórę, trzykrotnie większą od porąbskiej. To samo, tylko na większą skalę i tylko o kilka lat wcześniejsze w etapach pracy. Więc rzeka – tu jest to szeroki i bogaty w wodę Dunajec – płynie dalej swem korytem, tylko że obok tego koryta drąży się już w skale i ilach olbrzymi wykop fundamentów. Później przeciągnie się je przez rzekę. Dynamit rozsadza wybuchami co twardsze partje, świdry i oskardy, poruszane sprężonym powietrzem, rozłupują głaz, armja robotników ziemnych ładuje to na wozy i wywozi. Wykop pogłębia się i rozszerza: przekroczył już 20 m. głębokości. Na zboczach przedzielonych rzeką dwie świeże blizny wskazują w gęstwie lasu miejsca, na których oprze się każdy z krańców tamy. Biec ona będzie przez odległość przeszło pół kilometra. W Po-

rabce cały tabor wagoników zwoził beton i żwir. Tu jeszcze większy tabor kolejowy i konny wywozi masy iłu i ziemi. O lesiste masywy wzgórz obija się echo dynamitowych wybuchów. Nad Sołą i nad Dunajcem rysuje się kontrast cichych górskich dolin i pracy, zagęszczonej tu tłumem ludzkim, masą maszyn, wielkością zmian.

Przybór wód na Sole, to była od lat nieuchronna zapowiedź powodzi w Krakowskim. Przybór wód Dunajca groził dalekiej Warszawie. Ostatnia powódź kosztowała kraj przeszło osiem milionów. Te dwa „baraże” na dwóch górskich rzekach oznaczają regulację wód. O stanie wody na Sole czy Dunajcu, a więc o jej stanie na Wiśle, przestanie decydować przypadek zmiennej pogody, a będą decydowali kierownicy dwóch wielkich elektrowni w Różnowie i Porąbce. Masa energii wodnej, która spływa powodzią, zatrzyma się wtedy, osiadzie oparta na betonowych masowach, odpływać będzie w miarę potrzeb, unormowanym dokładnie nurtem. Jej energia poruszać będzie wdrażone w mur zapór olbrzymie turbiny, turbiny poruszają elektryczne generatory tej siły jakiej jeszcze nie ma w Polsce. Dwie sieci prądu o wysokim napięciu pójdą z doliny za Żywcem i za Sączem. Nie będzie to zwykły prąd: wody Soły spiętrzą na kilkanaście metrów, zaleją niemi bogatą dolinę, wypędzą z niej ludzi poto, aby jednocześnie w licznikach kilkuset tysięcy mieszkań na całym polskim Śląsku spadły ceny

miesięcznego rachunku płaconego elektrowniom, aby wydatek na światło w kilkuset tysiącach domowych budżetów najbardziej przemysłowej i robotniczej części Polski spadł do poziomu wydatku na zapalki. Wody Soły spiętrzone będą jeszcze i poto, żeby wszędzie, od Żywca począwszy, po najmniejszych górskich wsiach, elektryczna żarówka wyparła lampę naftową, jak niegdyś lampa naftowa wyparła łojówkę, łojówka – łu-czywo.

Tak będzie w Porąbce, Różnow będzie potężniejszy kilkunastokrotnie. Zadaniem Różnowa nie będzie już oświecanie jakiegoś Śląska, choćby tak ludnego jak Belgja. Zadanie Różnowa, to zupełna elektryfikacja kraju między Tarnowem, Kielcami a Radomiem. Nowotworzący się w tej środkowej części państwa przemysł nie ma węgla. Źródło jego siły pędnej leżeć więc będzie w tych górach za Sączem. Będzie go ono nasycało tak samo, jak kopalnie górnośląskie żywią ciężki przemysł. Wreszcie, niezatrzymane i tym wysiłkiem, energie różnowskie pobiegą dalej: ostatnim etapem ich pracy będzie elektryfikacja warszawskiego węzła kolejowego. – Teraz jeszcze stan wód na Dunajcu może przynieść Warszawie powódź. Za kilka lat stan wód na Dunajcu będzie poruszał warszawskie pociągi i nowe centrum przemysłu. Oto dlaczego wody Soły i Dunajca będą spiętrzone, dlaczego pracuje tu lub pracowało kilka tysięcy ludzi i dlaczego tysiące hektarów ziemi ornej zaleje się wodą.



Na stokach różnowskiej góry stoją domy tej masy ludzkiej – tysiąc kilkaset głów – która tu pracuje. Masa ta mówi różnymi językami, pochodzi z różnych stron Polski, Europy, a nawet świata: Jeden z techników jest Kanadyjczykiem, inny – przybył z Nowej Zelandji. Masa ta, rozmaicie płatna, spełnia rozmaite funkcje. Ma różne cele i różny stosunek do pieniądza, różną przeszłość za sobą. Wreszcie masa ludzka, która pracuje nad tem aby Śląsk i centrum Polski oświecać i poruszać, różnie mieszka i różnie jada. To są może najmniejsze, ale najwcześniejsze uderzające jej różnice.

Więc na samej górze mamy przede wszystkim szereg długich drewnianych willi, ślicznych i komfortowych. Mieszkają tu kierownicy budowy, fachowi inżynierzy francuscy. Roboty i tu i w Porąbce prowadzą towarzystwa polsko-francuskie z obcym kapitałem. Niżej nieco, już w lesie, wznosi się cała kolonja „specjalistów” technicznych, zatrudnionych przy budowie. Jeszcze niżej mamy baraki panów z polskiej administracji nadzorującej z ramienia ministerstwa budowę. Prawie na tym samym poziomie zbocza rozpoczyna się serja robotniczych baraków, która opada aż nadół do liny, prawie do rzeki.

Masa ludzka nie tylko mieszka rozmaicie. Żywi się

też bardzo rozmaicie. Najniższa kategorja, to robotnicy, którzy uważają koszt całodziennego wyżywienia w kuchni robotniczej – 90 groszy – za wygórowany i żywią się sami, kupując u chłopów mleko, chleb, kaszę. Ostatnia kategorja robotników nie chciała mieszkać w barakach: wybudowanie baraków pozbawiło ją 40-groszowego dziennego dodatku na nocleg: Z tego dodatku oszczędzali trzy czwarte, płacąc chłopom różnowskim, u których sypiali pokotem, tylko po 10 groszy.

Masa ludzka spełnia rozmaite funkcje, rozmaicie wiele czasu oddaje pracy, rozmaicie wiele zarabia. Pracuje się od paru godzin urzędowania dziennie do dwunastu godzin akordówki. Zarabia się od paru tysięcy miesięcznie aż do – ciągle schodzimy, jak od tych will francuskich do baraków nadole – 35 groszy za godzinę. Jej narzędzia pracy są też bardzo rozmaite. Jedni są wyposażeni w to co mógł dać bogaty kraj, zamożne środowisko rodzinne, możność nauki, zdolności. Ludzie ci pracują wysiłkiem swych zwojów mózgowych, pomnożonych o wiedzę, podniesionych do kwadratu i sześcianu przez cały wysiłek innych ludzi przed nimi, którzy zebrali doświadczenia, możność studjowania, takie czy inne rezultaty pracy, i wszystko to oddali właśnie im do wyzyskania, jak siłę z Różnowa otrzyma Tarnów, Radom i Warszawa, a energję z elektrowni w Porąbce Śląsk. Praca taka jest wydatna i zaznacza się w płacy. Praca innych jest już mniej wy-

datna. Współczynnik wiedzy, o jaki mogli pomnożyć jej rezultaty, jest mniejszy, do pracy zwojów mózgowych poczyną przyłączać się wysiłek mięśni. Im bardziej schodzimy wdół, w głąb wykopu, tem w całości pracy dalszych ludzi wysiłek mięśni zaczyna górować nad wszelkim innym. Wreszcie wysiłek zwojów mózgowych staje się minimalny. Nie zawsze jest to jednak wysiłek mięśni własnych, nie zawsze wysiłek danej chwili. Oto praca robotników ziemnych: ludzie ci nie mają dyplomów, nie można im nawet powierzyć zakładania min, nie umieją obchodzić się ze świdrem poruszającym sprężonem powietrzem. W przeszłości zdołali jednak zaoszczędzić część swej pracy, uchronić jej owoc przed konsumpcją: kupili narzędzie, wóz. Wozem zwozi się tu ziemię. Ale ci ludzie uchronili jeszcze większy zapas pracy, zdołali go skapitalizować: kupili konia. Za tych ludzi pracują ich mięśnie, ale pracuje jeszcze ich koń, służy im ich wóz. To wszystko będzie im policzone w codziennym obrachunku. Taki robotnik wyteża swe mięśnie, ale wartość pracy, dokonywanej przez niego obecnie, pomnażana jest przez wartość pracy kiedyś już dokonanej, a włożonej dziś we własnego konia, we własny wóz. Wbrew pozorom, ten robotnik jest już tworem gospodarczo podobnym do inżyniera-Francuza, choćby w tym nikłym, ale istotnym stopniu, w jakim dziecinny latawiec jest spokrewniony z olbrzymim junkersem. Homo economicus w Różnowie zaczyna się od właściciela wozu i konia, jak kie-

dyś i gdzieindziej, w noweli sienkiewiczowskiej, zaczynał się od barona.

Tylko że jest jeszcze jedna, podziemna niemal, kategoria pracowników w wykopie. To ci właśnie, którzy tego konia i wozu nie mają, a prócz mięśni i czasu nie mają nic więcej. A jest to prawie jedna trzecia tu zatrudnionych robotników. Pracują na akord, często po 12 godzin. Większość tego czasu pracują przy najniższej robotniczej stawce 35 groszy godzina, resztę czasu po 45, parę godzin nawet po 50. Powiecie że jest to niska płaca? Oczywiście – ale w powiecie brzeskim, skąd przyszli, dniówka robocza na roli nie przekracza 90 groszy, i oto co oznacza przerzucenie ze wsi do przemysłu. Ci bezkonni i bezwoźni odczuli dotkliwie zbudowanie im przestronnych baraków: odebrało im to przecież dodatek mieszkaniowy, z którego oszczędzali 30 groszy. Nie stołują się w garkuchni robotniczej, bo jest dla nich za droga: nie mogą przejeść dziennie równowartości trzech godzin swojej pracy.

Ludzie różnowscy są zróżniczkowani narodowo. Inżynierowie, to Francuzi, specjaliści techniczni – Niemcy, Anglicy, Polacy ze Śląska, urzędnicy z nadzoru – Polacy, robotnicy kwalifikowani – także. Wreszcie najniższa kategoria robotników, robotnicy ziemni, ci z koniem i wozem i bez nich, to przeważnie Poleszacy czy Białorusini z Brześcia. Tak różnice kwalifikacji, pracy, płacy, jadła, mieszkania, różnice przepast-

nie wyrażone w rozpiętości płac, utwierdza jeszcze różnica narodów.

*

Mr. Dubois dowiedział się bodaj po raz pierwszy „à Rogenouff” że istnieje taki naród białoruski. Chłop z Wołczyna, tego samego, gdzie chrzczony był Stanisław August, zapewne po raz pierwszy oglądał Francuza. A jednak, mimo wszystko, są więzy, które łączą parjasów i braminów Różnowa. Widać to zawsze w dzień wypłat. Dzień wypłat wytrąca z równowagi życie całego osiedla. Po wzgórzach słychać pijackie okrzyki radości, parę karczm starych i parę nowych gospod, pierwszych instytucyj jakie zapoczątkowała budowa zapory, jest przepełnionych. Ludzie wędrują aż do Sącza, urzędnicy robią wycieczki do Krakowa. Złoty gejzer wycieka z Różnowa dość szybko. Tamy, któraby go zatrzymała, turbin któreby przemieniały jego energję na tworzenie nowych dóbr, niema. Tylko dwie kategorje nie mają tego dnia nadwyrężonego życia. Piękne wille Francuzów i żółty barak Białorusinów, żyją tego dnia jak codzien. Najwięksi bogacze i najwięksi biedacy Różnowa kapitalizują z jednakim zaparciem. Mr. Dubois ceni zbyt mało te rozkosze, jakie może mu dać pieniądz w Różnowie albo i w samym Nowym Sączu; chłop z Wołczyna ocenia te rozkosze jako zbyt drogie.

Jest jeszcze inna racja zbliżająca jeden z największych narodów świata, który sobie i innym rzeźbił historję, do narodu-przedmiotu, narodu któremu bieg dziejów odebrał, nawet w godzinie wyzwoleń 1918 r., odczucie wielkości chwili, którego ruch niepodległościowy wije się przędzą przetkaną przez wszystkie możliwe oddziały wywiadowcze i przez wszystkie możliwe nadużycia pieniężne: oto zarówno inżynier francuski jak białoruski kopacz, wiedzą dobrze, że ich zysk przy tej pracy wyraża się bez reszty w tem co otrzymują przy wypłacie. Urzędnik i inżynier Polak, inteligent, rozumie, że współpracuje przy czemś, co jak Gdynia, jak Mościce, jak magistrala węglowa, jest nowym potężnym krokiem w postęp. Kwalifikowany robotnik Ślązak wie, że powstanie tu taka rzecz, jaką widział w Niemczech, na południu Francji, w Czechach, że gdy on spiętrzy tu wody, tam opadnie w domu rachunek za światło. Robotnik może i wie, że powstaje to poto, aby za Tarnowem wyrósł ciężki przemysł, nowe warsztaty pracy, nowe możliwości zatrudnienia. Dla tych ludzi jest w tej pracy coś więcej jeszcze poza pensją i poza akordem. Ale światła z Różnowa nie będą napępniały blaskiem neonów paryskich: Porąbka nie zelektryfikuje Wołczyna. Być może że podświadomie Polacy uważają iż proces kapitalizacji spełni za nich wzniesiona tu przegroda na rzece. Dość, że pieniądze przeciekają przez ich ręce. Gromadzą się u Francuza, myślącego o nowych akcjach przedsiębiorstw które

kupi i które mu będą odrzucały zysk równie samoczynnie, jak samoczynnie będzie tu woda poruszała turbiny. Gromadzą się u Białorusa, który liczy, że swoją pracę zamieni w konia, wóz, ziemię, i że tem wszystkim będzie podwajał obecny zysk swego trudu.

Ten chłop spod Wolczyna w Różnowie podhalańskim – któż to taki? Mały sknera? Nędzarz z duszą Harpagona, proletariusz z nastawieniem drobnoburżuja? Zdaje się że nie. Oto odprysk rozgniecionego nieszczęściem, ale i własną niezdolnością narodu. Początki jego wierzchniej, inteligenckiej, kierowniczej, warstwy nie umiały go ochronić, zgotować mu lepszego bytu, przynajmniej w początkowych etapach. Dziś pod Różnów ten człowiek przyszedł sam. Oszczędza w sposób najbardziej drakoński i najbardziej heroiczny w świecie. Nędzarz jako człowiek i nędzarz jako naród, dobrowolnie nagina się do norm świata opartego na pieniądzu. Ze swemi groszowymi zarobkami staje tu do wyścigu kapitalizacji z Francuzem, Niemcem, Polakiem. Syn wsi, której gospodarka jest może – obok hiszpańskiej czy albańskiej – najbardziej nieproduktywna w Europie, przyjmuje nowe formy pracy. Z przysłowiowo leniwego niezdary, niedzielnego opoja, pierwotniaka, robi się ciułaczem jakich nie zna świat. Łopaty Białorusów wdrążają się dzień i noc w szary ił wykopu. Przygotowują miejsce dla betonowych masywów zapory. Wydaje się że pod Różnowem dokonuje się coś więcej jeszcze: najmniej skryształizowany,

najmniej osobowy z ludów w Polsce przekopuje tu cały system swego bytu, przestawia się na inne zadania, wykształca w sobie z dawnych wad społecznych nowe wartości gospodarcze. Tam gdzieś w Mińsku jest akademja białoruska, gdzieś w Wilnie jest gimnazjum, są szkoły białoruskie, gdzieś nurtuje komunistyczna propaganda. Tu w Różnowie jest białoruska „praca od podstaw”. Tu są jej podświadomi Świętochowscy, Prusowie, Lubeccy, nie z rozumu, nie z wiedzy, ale z instynktu. Tylko, tylko tu stawiane są prawdziwe podstawy tego, co w mistycznym eufemizmie „Białoruskiej Krynicy” nazywane jest dzisiaj „domem białoruskim”. – Masa polska stanęła w półdrodzu. Najwięcej zarabiają Francuzi, najwięcej kapitalizują Białorusini, najwięcej wydaje, konsumuje ona. „Za nią” niech robi to państwo.

Trzeba odwrócić oczy od tych wielkich dolin, od gór, między którymi zalegną tafle dwóch olbrzymich jezior, zgromadzą się dwie olbrzymie masy wód. Trzeba zapomnieć o olbrzymim taborze wagoników, o masach przemielenego betonu, o tem co tutaj imponuje. Bo ostatecznie! Ostatecznie w Porąbce pracuje dziś czterystu, w Różnowie tysiąc pięćset ludzi. Siły tych ludzi, użytkowane przez kilka lat, dadzą nam elektryfikację dwóch najważniejszych centrów przemysłowych, przy czem jedno z nich niemal stworzą. Zelektryfikują stołeczny węzeł kolejowy, wieś podhalańską. Kilka tysięcy robotników, zatrudnionych przez kilka lat, zrobi aż

tyle. Ale w Polsce jest nie parę tysięcy, ale dziewięć milionów ludzi których praca jest mała lub żadna. I w porównaniu z tem Rożnowy i Porąbki są nieskończenie małe. To tak jakby wyzyskiwały jedną setną tej masy wód która spływa Sołą i Dunajcem ku Wiśle, jedną tysięczną, a reszta jakby płynęła sobie dalej, po staremu zalewając pola, znosząc z prądem powodzi domy.

PRAWO DO WOŁYNIA

Pani Róża Bailly, francuska przyjaciółka Polski objeżdża obecnie Wołyń, była w Łucku i Krzemieńcu, pokazano jej Górę Sokolą i Poczajów, zwiedziła siódme Targi Wołyńskie w Równem i badała związki naszej kultury z wielką kulturą Zachodu. Dobrze, że Pani Bailly nie jest w tej chwili z nami, o kilkadziesiąt kilometrów od Łucka, o kilka zaledwie od małego zapomnianego Dermania. Pagórkowaty Wołyń, sfalowany jak woda u brzegów jezior i mórz, rozprostowuje się tu coraz bardziej w wielką roztocz stepu. Więcej szerokim tchem wiatry od Dniepru, Azowa i Kubania. Młody, rosły pastuch pilnuje swych krów. Pastuch Radion zwraca na nas swe głęboko osadzone, osiężale patrzące oczy, swój ludzki pysk o czemś faunicznym jakby półludzkiem, półzwierzęcem, a urodziwem. I na pytanie odpowiada nam właśnie:

– Własi la rut o wilaż.

Nie wiemy jakby się dogadali pani Bailly z Radionem, ale nam robi się jakoś śmiesznie i nieśmiesznie. Chłopak patrzy na nas z niechęcią, jak przymuszane do czegoś, menażeryjne zwierzę. Słowa wypowiedział wolno, jak mówią głuchoniemi, brzmiały sucho i obco,

ani francusko, ani ukraińsko. Mamy wrażenie że zmuszamy tego zdrowego chłopaka do jakiejś poniżającej, okaleczającej go roboty.

– Combien avez vous de vaches? – pytamy poprostu, wyraźnie i powoli. Ale pastuch nie rozumie pytania.

– Szczoż was szcze w szkoli uczyły?

Pastuch Radion ma odruch buntu czy zniechęcenia. Przełamuje w sobie ten odruch. U tych ludzi wszystkie odczucia i reakcje widać jak przez szklaną szybę. Pastuch Radion patrzy nam w oczy i dobitnie zaczyna skandować:

„Metr korbo siur ę arbr pęszy
Tene dan są bek ę fromaż:
Metr renar par loder aleszy
Tene a pepre se langaż

Teraz napisane wygląda to okropnie, ale wtedy mówione brzmiało jeszcze gorzej. Jakieś bezsensowne zestawienia dźwięków, jakieś nowotwory czy kikuty słów. Pastuch wyrecytował mechanicznie całe dwie zwrotki bajki La Fontaine'a.

– Toho nas w szkoli uczyły, – odpowiedział. – Szist'rokiw uczyłsia. –

Pastuch wypowiada to z dumą, ale nie wiem, czy jest to duma wywołana tak wielkimi i długimi studjami. Jest raczej w tej dumie podstępne chłopskie

szyderstwo. Przez chwilę waży się jeszcze w powietrzu, drga na ustach tego chłopaka, aż się roześmiela, niemal rozzuchwala. Długim batem wskazuje na chudobę:

– A teper to i na korowu po francusku kłyczu. –

Powiedziane to zostało w pół po polsku, tak żebyśmy to napewno rozumieli. Pastuch chciał, żebym wiedział i dobrze zapamiętał, że tego metr korbo i metr renar nauczyła go moja, polska szkoła, na jego Wołyniu. Pastuch chciał, żebym ocenił jak głęboko pozwoliła mu posiąść mowę Ludwika XIV i Moljera, oraz jak wspaniałe nowe horyzonty otworzyła mu przed oczyma.

Obecnie szkolnictwo ludowe nie ma już w swoim programie jak przed kilku laty nauki języka francuskiego. Ale swoje ten znakomity program szkolny zrobił. Jest dziś zapewne kilka tysięcy młodych ludzi na wsi kresowej, którzy jak Radion przez taką szkołę przeszli, tak jak on posiadli wiedzę o metr korbo i metr renar, i wreszcie podobną co on korzyść i zastosowanie praktyczne dzięki tej szkole osiągnęli. Jak młody żebrak kaleka, obwieszony medalami wojskowymi jest odstraszającą pozostałością wojny, tak ci wszyscy młodzi, zdrowi, i okaleczeni ludzie są chodzącymi karykaturami oświaty.

Pan Płachta i pani Płachcina, ich córki, Zenobie et Crispine. Czyście ich zapomnieli? Tedy przypomnijcie sobie. Oto czasy o sto lat wcześniejsze, stary Wołyń

z powieści Korzeniowskiego, kontrakty Kijowskie i spekulacje majątkowe, marszałkowie szlachty i „Kollokacja”. Sześciomorgowy zaściankowy szlachcic, z magnifiką i córkami, z ich wykrygowaną francuszczyzną o słownictwie nie z Moljera, ale z żurnalu mód warszawskich, wielka mowa, którą szły przez świat idee, w której zmętniał tu tylko parafjański snobizm. Ale oto to samo co ośmieszył Korzeniowski odżyło w demokratycznym państwie, wcieliło się w jego szkolnictwo i zaniesione zostało już nie do zaścianków szlacheckich, ale na ruską wieś. Kollokanci. Tak. Pani Bailly dowie się zapewne w Krzemieńcu i Łucku, że Wołyń jest najściślej zespalany z wielką kulturą Zachodu. Pastuch Radion mógłby, gdyby zechciał, nawoływać swe krowy po francusku. Ojciec pastucha Radiona ma zapewne w chacie wiele szeleszczących miłokajówek, tęczowych Piotrów Wielkich, może nawet wspaniałą „Katarzynkę”. Zdewaluowanemi rublami carskimi, po które ręce wyciągał, może dziś z powodzeniem wytapetować żłób dla tej samej krowy, do której Radion mówi mową encyklopedystów. Dwa pokolenia wsi wołyńskiej zawiodły się różnie, ale srodze.

Z tem wszystkim nie bez racji pani Róża Bailly, zagraniczna przyjaciółka Polski, będzie podkreślać w świecie, że Polska łączy Wołyń z wielką kulturą Zachodu, nie bez racji dawne programy wołyńskich szkół ludowych starały się tę łączność podkreślić coprawda niezbyt szczęśliwie i wreszcie nie z innych racji widok

pastucha Radiona podważa w nas poczucie wartości tego kulturtregerstwa. Tytułem na jakim państwo polskie oparło swe roszczenia do tych ziem, nie było, jak przy Śląsku, zamieszkiwanie ich przez olbrzymią większość polską, nie było jak w wypadku Pomorza, konieczność dostępu do Bałtyku, ale polskość kultury tego kraju. Kultura stała się takim samym tytułem prawnym posiadania, jak gdzieindziej były nim względy etnograficzne, gospodarcze czy geograficzne. Łączenie tego kraju z Zachodem stało się odtąd obowiązkiem ciążącym na Polsce, wprawdzie moralnym, ale oto przyjaciółka Polski pani Bailly chce móc podkreślać, że Polska ten obowiązek wypełnia, a ludzie, którzy wskazują na tysiące Radionów będą podawać w wątpliwość wartość tego wypełnienia. Szerzenie kultury jest głęboką racją istnienia tu władzy polskiej, jak korzystanie z dróg morskich głęboką racją posiadania przez nas dostępu do morza, tylko cóż to jest dla wsi wołyńskiej kultura. Oto pastuch Radion umie wiersze La Fontaine’a, których nie umie jego ojciec. To prawda, ale to też prawda, że z temi wierszami La Fontaine’a pastuch Radion pasie krowy jak jego ojciec, tylko może na bardziej rozdrobnionej działami rodzinnemi przestrzeni, to prawda, że tajemnicza i wyższa kultura panny zbliżyła się do niego, ale stała się naraz bańką mydlaną w jego oczach. Polska szkoła z językiem francuskim była jak maszyna, która porwała dzikiego chłopaka w swe tryby, uniosła, wchłonęła, ale wreszcie od-

sunęła na bok, poza obręb swych przetwórczych, przekształcających kół.

Wieś pastucha Radiona, moc wsi wołyńskich zostało pochwyconych dzięki Polsce jeszcze w inne pasy transmisyjne, ogarniętych innym procesem kulturalnym. Nie jest to już obecnie dawna wieś. Podobnie po sowieckiej stronie granicy całe wsie przenoszą z miejsca na miejsce. Podobno z chat mają tam wznieść wielkie wspólne gmachy. Tu cała wieś Radiona została rozbita w puch, rozpylona po wzgórzach, rozrzucona po stepie. Można powiedzieć, że niema tej wsi, i rzeczywiście takiej jak było już niema. Stłoczone w gęstwą chaty wielkiej wsi ruskiej, narażonej co roku na pożary i epidemie, rozsunęły się na strony dzięki komasacji. Ludzie, którzy nie znają rolnictwa, ludzie którzy nie wiedzą jak gospodarowała dawna wieś wołyńska, nie rozumieją znaczenia faktów, że wreszcie te gospodarstwa składające się z kilkunastu ułamkowych pasków ziemi, rozrzuconych na przestrzeni kilku kilometrów, zebrano w osobnej całości nowych gospodarstw. Zdaje się, że nigdzie w Polsce komasacji nie przeprowadzono tak energicznie, jak na Wołyniu, z takim nakładem kosztów, mimo wszelkich protestów, wszelkich nieuniknionych nierówności, oporu ciemnej masy chłopskiej, po to, żeby mogła się zmienić najfatalniejsza gospodarka na jednej z najlepszych ziem w Europie, trzeba było dokonać tego przewrotu, którego narzędziem był triangulator geometry. Żeby tu przy-

szła jakakolwiek kultura rolna, musiał się zmienić krajobraz Wołynia, uczynić się mniej podobnym do wsi ruskich nad Dnieprem i nad Słuczą, do świata naszych i ich ojców, do czasów Rosji carskiej. Musiał się wygląd wsi upodobnić do tego co od wieku ma Francja, Niemcy, Czechy, Danja i Poznańskie. Każdy skomasowany hektar utwierdzał i przedłużał polskie prawo do Wołynia, oznaczał narodziny wiejskiej kultury. Ale komasacja, jak szkoła, stawiała dopiero początki. O i tego musiało się zacząć, ale na tem nie można było skończyć.

Chłopa wołyńskiego obudziła, jak mickiewiczowskiego żubra, wojna światowa z wiekowego snu. Wojna wstrząsnęła napływem nowych ludzi i nowych wydarzeń: uchodźcy, rozprężenie ogromnego państwa, rewolucja, dwukrotne przejście bolszewików, widok mazepinek ukraińskich na głowach wojsk z Galicji Wschodniej, wszystko to zrobiło swoje. Inflacja pierwszych lat powojennych otworzyła przed chłopem nie tylko półki kramów, ale lada wielkich sklepów, wybo-ry postawiły go przed programem i hasłem, szkoła przed czytaniem. Chłop duński, który rozpoczął od komasacji na komasacji nie skończył, przeszedł do spółdzielni, do własnych szkół, które czynią rozróżnienia językowe, między mową duńską w Zelandji a tą samą mową duńską w Jutlandji. Chłop ów wybiera swoich wójtów, posyła swoich posłów do parlamentu. Proces szerzenia kultury na Wołyniu był procesem, który cha-

rakteru masowego mieć nie mógł. Tak, gdzie szła szkoła musiała iść czytanie i język, w którym się czyta. Tam gdzie przeprowadzono parcelację, meljorację i ulepszono gospodarkę musiała się pojawić spółdzielnia, hurtownia, kółko rolnicze. Tak, gdzie się pojawiły pierwsze formy gospodarczego życia zbiorowego, musiały się pojawić pierwsze partje polityczne, pierwsze obozy, pierwsze rozłamy, bo rzecz określana jak ogólnie, „kultura Zachodu” nie polega tylko na tem, że chłop niemiecki ma radjo, duński auto, a francuski pije wino. Tam, gdzie kilkumiljonowa masa ludności została w ciągu lat kilku podniesiona do wyżyn szkoły powszechnej, komasacji spółdzielni mleczarskich, - tam ta masa mogła wejść w nowe progi, mówiąc tylko swym starym własnym językiem. Tam musiała równolegle do podniesienia się kultury wystąpić sprawa narodowa. Na Wołyniu była nią sprawa ukraińska. Państwo polskie wzięło Radiona do szkoły, nauczyło rzeczy pożytecznych i całkiem zbędnych i wypuściło spowrotem na łąkę. Państwo polskie skomasowało wsie dookoła Dermania i zanim, osadziło włościan w nowych chatach i na nowych polach. Ale teraz musiał przyjść ktoś inny, któryby Radionowi pokazał nie jak czytać, ale co czytać i jakie z tego czytania może przecież wyciągnąć korzyści. Musiał przyjść do wsi za Dermaniem ktoś inny, któryby pokazał jak gospodarować, któryby założył spółdzielnię, fachowo ją prowadził, zyski dla zrzeszonych ciągnął, zaufanie wsi ciemnej zdobył. To

było bardzo trudne i niewdzięczne zadanie. To było jednak zadaniem zdobywania Wołynia przez tworzenie jego kultury. Wymagało to mało stosunkowo wiedzy i wyszkolenia, ale dużej ofiarności. Być może, że wtedy prowadziła nawet droga do spolszczenia Wołynia, być może, że Wołyń nietylko kulturalnie, ale i narodowo należałby do ludzi, którzy go nauczili co czytać i gospodarować. Było wtedy w Polsce bardzo wielu młodych entuzjastów, którzy chcieli Polskę spolszczyć i tych ludzi bolał niezmiernie nadmiar adwokatów Żydów we Lwowie i Krakowie. Bardzo wielu z tych ofiarnych młodzieńców spolszczyłoby może kancelarje adwokackie w Łucku, może nawet w Równem, a ostatecznie i w Dermaniu. Ale walka o polskość Wołynia nie rozgrywała się na terenie kancelarji adwokackich i posad urzędniczych, to też nie znalazła entuzjastów. Nauczycielem życiowym i społecznym ludzi z pod Dermania stał się młody człowiek z pod Lwowa, ukraińiec galicyjski. Miał on nad polskim urzędnikiem tą ogromną przewagę, że był temu ludowi niewątpliwie bliższy. Był jak on synem chłopskim, mówił językiem o słabych różnicach, poczuwał się do wspólnoty. Roztaczał przed młodym chłopem wołyńskim horyzonty życia narodowego, nowe nieznane, wspaniałe, jak ongiś te nadzieje łączone z poznaniem tajemniczej pańskiej francuszczyzny. Budował mu w zrębach życie ukraińskie, życie spółdzielcze, polityczne, kulturalne. Nabywał w imię tej nowej, pierwotnej, ale nie-

wątpliwie istniejącej kultury jeszcze jedno, nieznan-
tu dotąd, prawo do Wołynia. To pewne, że rozwój
spółdzielczy Wołynia był w tych czasach również na-
gły, jak rozmiarami swemi i wzorowością gospodarczą
imponujący. Było jasnem, że jest to nowe prawo kul-
tury przeciwstawiane dawnemu prawu polskiemu.
Państwo polskie nie mogło przeciwstawić temu prądo-
wi i napływowi innego, równego mu w intencjach i ce-
lach napływu. Widziało, jak na podstawie szkoły stwo-
rzonej przez Polskę, i komasacji przeprowadzonej
przez Polskę, rodzi się życie kulturalne i postęp gospo-
darczy, które będą inne niż nad Pilicą. Ale państwo
polskie nie zauważyło, dwóch innych bardzo ważnych
rzeczy, a to że życie ukraińskie Wołynia może popły-
nąć albo nurtem legalnym spółdzielni, wiecu politycz-
nego, szkoły narodowej, albo wymknie się w nurty pod-
skórne, żłobiące głęboko ziemię, że tylko do czasu może
trwać przyjaźń pozorna miotaczy bomb i kasjerów
sklepów, że Poznańskie, które najlepiej rozwinęło swe
jawne życie narodowe i spółdzielcze nie znało krwa-
wych śród i placów grzybowskich, jak zepchnięte w
podziemia życie Kongresówki, że wreszcie, jeśli nie le-
ży w możliwości władzy zamienienie paru milionów
Ukraińców wołyńskich na Polaków, to pozostanie do
rozstrzygnięcia kwestja, jaki będzie ten wołyński, ro-
dzący się dopiero typ Ukraińca, a obojętnem to wcale
nie jest. Polska powiedziała tu wielkie A swego alfa-
betu: przeprowadziła komasację. Komasacja to był

wielki wstęp do rozbudowania wsi na modłę zachod-
nią na gruncie zasady własności prywatnej, upodob-
nienie do Niemiec, oparcie struktury rolnej na nieza-
leżnej gospodarczej jednostce, na podniesieniu mas
wiejskich do typu kulaka. Po drugiej stronie świeżo
wytyczonej granicy czyniono wręcz odwrotnie, niszczo-
no własność prywatną, niszczone zarodek, niezależnie
gospodarczo chłopów, kolhosem upodobniano ich do
wielkorosyjskiego „miru”. Po drugiej stronie zaczyna-
ła się dyktatura, zależność gospodarcza i policyjna, za-
czynał nowy, pod jarzmem wyrosły typ ukraińca. Po-
polskiej stronie, cokolwiekby nie chcieli młodzi ludzie
ze Lwowa wyrastał typ zupełnie inny, zupełnie odmien-
ny. Ludzie tak różni jak „bidniak” i kulak” nomen-
klatury sowieckiej. Dwa zupełnie różne społeczeństwa.
Interesem Polski było, by chłop wołyński był gospodar-
czo zasymilowany do chłopu w poznańskim, a oddzie-
lony od chłopu z za Woroneża. Polscy nacjonaści
zwracali wiele uwagi na kolor szyldu sklepowego i je-
go język, a bardzo na te właśnie rzeczy, na to znacze-
nie, jakie ma ta sama struktura, a w następstwie ta sa-
ma psychika gospodarcza. Wszystko to last not least
łączące z Polską, nawet mimo pozorów, bo oddziela-
jące się od tego, co się współcześnie działo w Charko-
wie i tego co i tu i w Charkowie było przed wojną.
Pozostało przez nich niedostrzeżone. W nadchodzącej
fali kultury ludowej widzieli tylko jej nieuchronny, bo
od przygniatającej większości ludności zależny, skład

narodowy. W tych warunkach musiało przyjść to, co leży zawsze w możliwości fizycznie silnych, a psychicznie bezradnych: złamanie. Koła rozpędowe wstrzymała w miejscu ta sama ręka, która puściła je w rozpęd twórczy. Skrzypnęły glucho łamane tryby.

Pozostałość rodzącej się i zatrzymanej w swym normalnym rozwoju kultury widziałem na północy, w powiecie Kostopolskim, jadąc o świcie roztrzęsionym autobusem do Berezna. Autobus wpadając w wielkie kałuże dróg mijać począł od pewnego miejsca ustawione przy drodze wielkie blaszane bańki na mleko. Stały zupełnie samotnie, niestrzeżone przez nikogo. Nie była to Danja, ani Holandja, był to północno-wschodni kąt Wołynia. Tego dawniej i jeszcze bardzo niedawno na Wołyniu nie było. Takie bańki z mlekiem rozstawione nad drogą, w odległości kilkuset metrów od rozrzuconych po polu chat, była to kultura innej wartości niż wiersz o maitre corbeau w ustach pastucha Radiona. Wytłumaczono mi ten cud. Oto w Kostopolu była dawniej kooperatywa mleczarska Masłosojuzu i tu wszyscy byli jej dostawcami. Codziennie przejeżdżał wóz i zabierał mleko, gospodarze nauczyli się czyścić doić, mieć takie bańki i wystawiać je na drodze, nauczyli się, że to co jest niestrzeżone, nie przestaje temsamem być czyjąś własnością, powinno móc stać bez stróża. Kooperatywy w Kostopolu już dziś niema, jak znikła cała nić masłosojuznych kooperatyw, jak znikły ukraińskie szkoły, pozostawiając tylko lekcje

ukraińskiego, udzielane przez nauczycieli poznańskich. Mlekiem w Kostopolu handluje ponownie żydowski mleczarz, dawny pachciarz ze dworu. Było to niezamierzonym może, ale niewątpliwym skutkiem zamknięcia kooperatywy. Wszystko jest więc jak dawniej, wszystko wróciło do dawnego trybu, tylko uparte blaszane bańki wylażą jakby same na drogi Wołynia i nie chcą już z nich odejść. W 1852 r. stare żydówki z Krzemieńca, pięknego licealnego Krzemieńca, wierzyły święcie, że Mikołaj I „jeszcze Liceum wróci”.

Zresztą władza, która wstrzymała rozpędowe koło, która chcąc nie chcąc w miejsce kostopolskiego masłosojuzu postawiła dawnego pachciarza, jest w pojęciu znakomitej większości polskiego społeczeństwa na Wołyniu, wojska, osadników, urzędników, ziemiaństwa, jeszcze zbyt słaba, zbyt liberalna, zbyt ukrainofilska. Zjazd krzemieniecki osadników domagał się by Polacy, zamieszkali na Wołyniu, czy też tylko osadnicy rolni, płacili zaledwie symboliczny podatek, 10⁰/0 tego, co płacą inni tutejsi obywatele państwa. W powiecie krzemienieckim na 12 wójtów mamy 4-ch osadników, 4 przyjezdnych Polaków, byłych wojskowych, wysłużonych żołnierzy, wreszcie czterech ludzi miejscowych, Ukraińców. Zapewne przed wojną sami miejscowi piastowali wysokie urzędy wołosti gminnej. To wszystko jest dla tych ludzi jednak jeszcze za mało. „Czy państwo wie, że Liceum Krzemienieckie jest zukrainizowane? – pyta mnie ziemianin wołyński. Wyrażam zdziwienie:

o ile wiem językiem wykładowym Liceum jest język polski. „Ach tak – brzmi odpowiedź, ale przyjmuje się tam także ukraińców”. Przypomniałem rozmówcy, że przed wojną na uniwersytecie berlińskim studjowało wielu Polaków, co ze strony niemieckiej nie wywoływało skarg na polonizację Berlina. Zapewnił mnie, że ukraińcy nie potrzebują liceum. Nie znał Ułasa Samczuka.

Rodzina Ułasa Samczuka mieszka po dawnemu na wsi, w Uhorsku, pod Krzemieńcem. Ułas Samczuk jest niewiele starszy od Pastucha Radiona, tyle, że pamięta jeszcze rosyjską szkołę, resztę wykształcenia otrzymał w polskiej. Temu lat siedem Ułas Samczuk został przytrzymany przy usiłowaniu przejścia granicy sowieckiej: uciekał do Charkowa, na uniwersytet ukraiński. Wtedy jeszcze zorze zdradnych swobód jaśniały nad Dnieprem. Ułas Samczuk dostał się do więzienia, z więzienia oddano go do wojska. Z Cieszyna zbiegł ponownie, tym razem do Czech i tym razem skończył uniwersytet. Ułas Samczuk jest dziś pisarzem. Jego książka „Wołyń” wielka kronika chłopska w stylu Hamsuna, czy Marji Dąbrowskiej, pierwsze odsłonięcie tego co się czasu wojny kłębiło pod czaszkami Radionów i Chwydotów, jest tłumaczona na języki: niemiecki, czeski i serbski. W Polsce jest zupełnie nieznaną. Kogo może obchodzić taki Ułas Samczuk z pod Krzemieńca, poza lokalnem P. K. U. i lokalnym Wydziałem bezpieczeństwa?

A jednak jest to wielka, surowa książka. W równomiernym do siebie rytmie, rysuje się w niej rozwój dwóch dorastających zwolna istot: małego wiejskiego chłopaka, zagubionego między bydlęm ojcowskim, a mnogością dzieciaków, i rozwój narodu, który zgubił swą osobowość, aż do swego imienia, i którego splót wydarzeń dziejowych cuci stopniowo i dojrzewa. Jest to bardzo piękna i wyjątkowa książka. Poraz pierwszy przemawia w niej naród w 99⁰/₀ chłopski, mówi autentyczny syn chłopski, nie syn chłopów, u których jak na Zachodzie zamożność wypiastowała już 3 generacje, ale syn chłopca, który jeszcze do tamtego wszystkiego nie dotarł. Nie jest, jak literatura chłopska rosły, nagięta do wskazań i wytycznych generalnej linii partji, nie jest na krztę chłopomańska. Sądzi chłopów z surowością, na jaką stać prawdziwego chłopca. Splót wypadków sprawił, że Ułas Samczuk jest politycznym emigrantem. Inny splót wypadków sprawił, że jego książka chłopska, pisana mową 70⁰/₀ mieszkańców sowieckiego pogranicza, jest książką tak zdecydowanie i głęboko antysowiecką, jak żadna inna w całej reszcie Polski. Dziś, gdy pogranicze jest naszym Riffem, naszym Wild Westem, takie rzeczy się ceni.

Chłop ukraiński pytał się przejezdnych rok temu, co z Abisynją. Chłop ukraiński pyta się w tym roku o Hiszpanję. Dlaczego ludzie pod Włodzimierzem, Dubnem interesują się naraz losami Negusa czy sukcesami generała Molli? Wyjaśniają to jasno i szczerze: Może

być z tego wojna. Czy chcielibyście, żeby była wojna? pytam. Chłop patrzy się głęboko zdziwiony i mówi: ja chłop panie, jakże mnie chcieć wojny?

W tem właśnie jest jeszcze jedna z tylu niedostrzeżonych przez nas rzeczy, że ten człowiek na Wołyniu, którego podniesienie się gospodarcze i kulturalne uczyniło kooperatywistą, nauka piśmiennym, oświata czytelnikiem tygodników, poczucie narodowe, zanikłe na niskim szczeblu cywilizacji, ukraińcem, pozostał w swym gruncie chłopem. W tem znowuż leżała dla Polski bardzo wielka rzecz, niewyzyskana, niepopchnięta naprzód. Oto chłop nie chce wojny. Wszystkie społeczeństwa chłopskie są pacyfistyczne, wojny nie chcą, wojna oznacza dla nich zniszczenie, oznacza zepchnięcie z tego pierwszego dobrobytu, na który się wdarli. Im ten dobrobyt jest młodszy, bardziej niedawno zdobyty, cenniejszy, im ten dobrobyt się powiększa zamiast maleć, tembardziej chłop jest przywiązany do nowego stanu rzeczy, nie chce go politycznie zmieniać. Chłop na Wołyniu chciałby dawnej swobody kooperatyw, dawnych szkół z pierwszych lat Polski, może takich posłów ukraińskich, jakich ma włościanin z pod Tarnopola, ale chłop nie chce wojny. Chłop, po którym przewalały się armje niemieckie i austriackie, bolszewickie i polskie, wie, że jego kraj będzie terenem wojny i tego nie chce. Chłop nie chce wojny nawet wtedy, gdyby jej owocem miała być wolna Ukraina. Zbyt wielkie, zbyt ciężkie ryzyko. Tu rozchodzą się drogi.

Możność spokojnego budowania własnej kultury dla milionowych wyzutyh z niej mas, jeśli oczywiście ta możność naprawdę istnieje, jest zbyt mądrą pokusą. Pragnienie pokoju jest tak wielkie, że pogłoski planowanej przez Hitlera wojny wzmogły do kilkudziesięciu tysięcy podania o pozwolenie na emigrację do Ameryki. Chłop nie chce wojny, a inteligent emigrant Ułas Samczuk nienawidzi Sowietów. W tych warunkach można jeszcze zrobić wszystko. Ale powiedziano to przecież ze strony polskiej w roku 1918, prawa do Wołynia nabywa się przez jego kulturę. Nabywa, kto ją rozszerza, traci więc, kto pomniejsza.

Prawo do Wołynia. Oto jest przede mną Krzemieniec-klejnot, Krzemieniec najpiękniejszy z miast Polski i jak ogromnie polskie. Wgłąb jaru zaszły dworki szlacheckie brzuchate i białe, z kolumnami i ciemnymi oczyma okien, w tłoku ulic zbiegły się domy żydowskie, z frendzlami galeryjek wokoło, jako owa karczma z Pana Tadeusza. Są dwa typy miast polskich, ery piastowskiej i ery jagiellońskiej, wschodni i zachodni. Tamte budowali Niemcy i Włosi, te budowały dwa elementy: szlachcic i Żyd. Krzemieniec to najczystszy stylowo wzór tego budownictwa. Krok dzwoni na kamieniach ulic, wzrok zagląda do dworków szukając pani Słowackiej. Ikwa, rzeka dzieciństwa, płynie jak wtedy przez łąk zielonych kobierce. Dzwoni jak dawniej, sygnaturka liceum. Jest olbrzymi kopiec Góry Bony, księżycową nocą czarny, jak votum poczajow-

skie, wielkie votum ze szczerego patynowanego srebra. Z ruin zamku Krzywonosą wzrok opada już na step, wzrok w przestrzeni błdzi nie wsparłszy się o nic. Bł Słowacki i Korzeniowski, były dworki i przychodzą kooperatywy, jest Samczuk i jego Wołyń, książka jakiej nasza współczesna literatura kresom tym nie dała. Prawa nie stoją w miejscu. Mogą rość, mogą się zacieśniać i zamierać. Kultury przechodzą i odchodzą czasem mogą przyjść niedostrzeżone a istotniejsze niż francuska kultura M-me Plachta i pastucha Radiona. Taki piękny jest ten Krzemieniec, tyleśmy weń włożyli przez wieki, i taki jest sercu głęboko bliski. Takby się chciało byśmy tu dalej byli kulturą, tem co żadnej kultury nie łamie, każdą przynosi i rozszerza, takby się chciało mieć prawo do Wołynia.



SPIS RZECZY:

	str.
Wśród szkła i plakatów	9
Ślubowanie	23
Żółci ludzie z Łodzi	43
Przytyk i stragan	63
Kraj polski chłopski	81
Kielkowanie na bagnie	97
Michał - Kleofas	119
Właściciel galerji portretów	129
Wola władzy	137
Sprawa o garnki przy drzwiach otwartych	155
O wóz i o konia	167
Prawo do Wołynia	183



ANDRZEJ BOHOMOLEC

WYPRAWA JACHTU „DAL“

Cena zł. 4.—

Jachting — to bodaj najpiękniejszy, najbardziej romantyczny ze wszystkich sportów, to też książka A. Bohomolca, jedna z pierwszych w Polsce książek „jachtingowych“, niezawodnie przyczynić się powinna do rozwoju tego sportu. Tembardziej, że wyprawa przez Atlantyk, jaką na jachcie „Dal“ przedsięwzięli trzej polscy podróżnicy, — to już nie wyczyn sportowy, lecz śmiałe i ryzykowne przedsięwzięcie, którego powodzenie może być tylko wynikiem wielkiej umiejętności, wytrzymałości, energii i męstwa, plus ów nieodzowny „łut szczęścia“, a niepowodzenie — oznacza pewną i nieuchronną śmierć w nurtach Oceanu.

Historję tej wyprawy, historję zmagania nędznej łupiny rzuconej na fale oceanu z wrogim żywiołem, pamiętnik wielu chwil tragicznej, beznadziejnej niemal walki z burzami, cyklonami i skałami podwodnymi opisuje A. Bohomolec w sposób prosty, a pełen napięcia, — z tym samym zapalem, który pozwolił bohaterkiej ekipie przebyć wszystkie niebezpieczeństwa i uwieńczyć powodzeniem szaleńczą wyprawę.

Na końcu książki w specjalnym załączniku p. Bohomolec dzieli się z czytelnikiem uwagami fachowo-żeglarskimi nabytymi w ciągu tej wyprawy.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE »RÓJ«

ROK TEMU NIEZNANY WĘDROWIEC —
DZIS NAJGŁOSNIEJSZY PODRÓŻNIK POLSKI

ARKADY FIEDLER
LAUREAT NAGRODY MIASTA POZNANIA 1936 ROKU

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ

Cena brosz. zł. 7. — opr. 9.—

Ta szczególna organizacja artystyczna, która tyle przysporzyła rozgłosu poprzednim książkom Fiedlera: „Ryby śpiewają w Ukajali” i „Zwierzęta z lasu dziewiczego” — panuje również i nad jego nową książką o Kanadzie. Czy to będą opisy dotyczące dawnych dziejów Kanady, sięgające czasów pierwszych wypraw zdobywczych, czy obrazy z życia dzisiejszej kanadyjskiej puszczy — zawsze uderzać w nich będzie obok ścisłości — właśnie artystyczna wartość obserwacji. Każda z tych luźno rzuconych scen ma swą pełną, żywą i barwną literacką wymowę. Postacie ludzkie — postacie dawnych zdobywców, nie-
szczęśnych tubylców tępionych przez „cywilizację białych ludów, postacie dzisiejszych mieszkańców Kanady, — osadników polskich, łowców, plantatorów — to portrety o znakomitej plastyce i wyrazistości; a tak samo plastyczne, żywe i pełne wymowy są opisy Fiedlera, jego wyprawy łowieckie, podpatrywanie życia tej wspaniałej przyrody i jej mieszkańców.

Książka Arkadego Fiedlera żyje; każdy odgłos podchwycony przez Fiedlera, zew miłosny leśnego zwierza, czy śpiew małego ptaszka — nie tylko słyszymy i czujemy, lecz rozumiemy jego głęboką treść. Życie tej puszczy nieznanej i dalekiej staje się dla nas bliskie i zrozumiałe; czujemy, jak ogarnia nas i obejmuje urok i czar tego życia, bijący w nas z każdej karty książki.

„Kanada pachnąca żywicą”... Tak, ta książka pachnie naprawdę świeżą, ciepłą żywicą kanadyjskich lasów.

TOW. WYD. „R Ó J”, WARSZAWA, KREDYTOWA 1

ARKADY FIEDLER

ZWIERZĘTA Z LASU DZIEWICZEGO

Pisarzy, badających świat zwierząt, interesują zazwyczaj ich ludzkie cechy; doszukują się oni wśród stworzeń niższych załączków tych uczuć i instynktów, jakie znajdują u ludzi, czasem nawet dostrzegając je w bardziej rozwiniętej niż u ludzi postaci. Takie są zwierzęta Londona, takie są mrówki Ewersa. Badacza instynktu społecznego mrówek nie obchodzi motyl, chociażby najpiękniejszy, ani najcudniejszy ze wszystkich ptaków, drobniutkie kolibry. Inaczej podchodzi do zwierząt Fiedler: nie idealizuje ich, nie czyni ich podobnymi do ludzi, nie analizuje ich „psychiki” — lecz przedewszystkiem kocha je i podziwia ich piękno. A piękna tego szuka nie tylko w barwie i kształcie zewnętrznym, potrafi je dostrzec w drapieżności pająka, w figlach małej małpki, w obyczajach ptaków i owadów, w prawie silniejszego, które rządzi puszcza, i w zręczności słabych, broniących się przed drapieżcami.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

ARKADY FIEDLER

Ryby śpiewają w Ukajali

„Ryby śpiewają w Ukajali” – to wśród książek podróżniczych jedna z najpiękniejszych i najosobliwszych. Arkady Fiedler, mieszkaniec spokojnego Poznania, co parę lat wyrusza na daleką, długą i romantyczną wyprawę. Z podróży tych przywozi najpiękniejsze i najosobliwsze okazy zwierząt, ptaków i owadów, – i najbarwniejsze wspomnienia. Zarówno wtedy, kiedy wspomnienia te dotyczą wszelakich stworzeń amerykańskich, które Fiedler zna na wskroś i opisuje w sposób czarujący, jak i wtedy, kiedy dotyczą napotkanych ludzi i spraw, – każda jego opowieść jest małym arcydziełem stylu, obserwacji, wdzięku i plastyki. Czy to będzie opowieść o tapirze, czy o pajakach niezmordowanie snujących swe sieci, czy o straszliwych pochodach mrówek, czy istic conradowska opowieść o właścicielu statku na Amazonce, czy pełna humoru – o przyczynie wojny boliwijsko - paragwajskiej, zawsze potrafi Fiedler znaleźć dla niej odpowiedni ton, opowiedzieć ją w sposób prosty, pozornie zwyczajny – a przecież nadać jej wszelkie cechy artystycznej pełni i wyposażyć ją w tyle wdzięku i czaru, że starczyłoby go na całą powieść.

A. JANTA - POŁCZYŃSKI

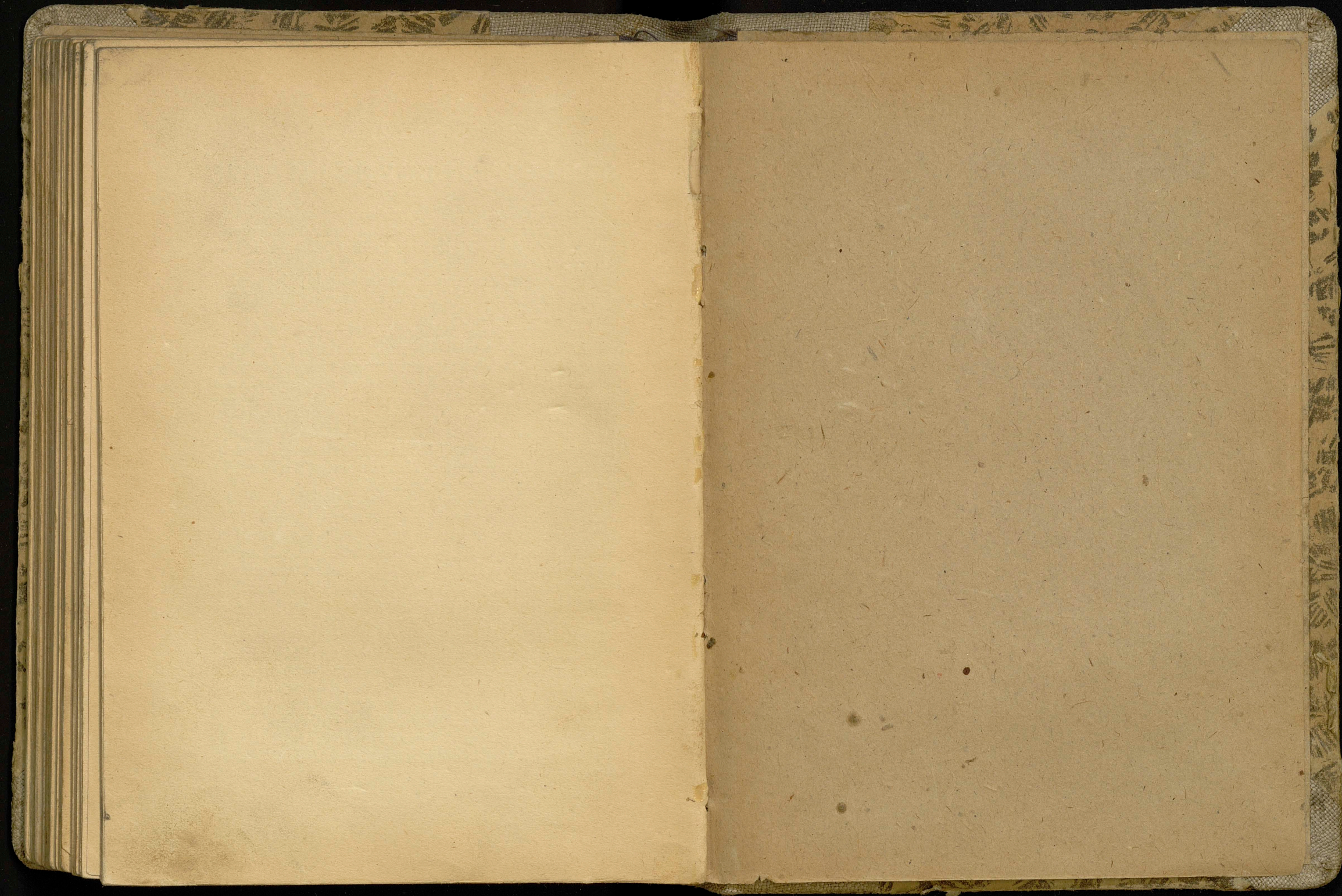
STOLICA SREBRNEJ MAGJI

O reportażach Janty-Półczyńskiego, powiedziano, że oszczędzają czytelnikom odbycia podróży. Nie „przed” ani „po” – dobre są nawet „zamiast”. To powiedzenie, parafraza ze znanej anegdoty, okaże się szczególnie trafne w odniesieniu do nowej książki Aleksandra Janty-Półczyńskiego, której tytuł brzmi: STOLICA SREBRNEJ MAGJI.

A więc książka o Hollywood. Pierwszy polski reportaż z amerykańskiej, ale i światowej stolicy filmu. Z miasta, którego istnienie, magicznym naprawdę wpływem skupia uwagę i staje się celem tęsknot, równie dobrze jak stolicą zawiedzionych nadziei mniej więcej 50 proc. mieszkańców kuli ziemskiej. Aleksander Janta-Półczyński odsłania jej obraz codzienny, ukazuje prawdę o niej, szczerze i prosto, demaskuje wreszcie rzekomą nadzwyczajność „fabryki snów”, tam gdzie ona na to zdemaskowanie zasługuje.

Jednak podróż autora „Stolicy srebrnej magji” do Hollywood nie miała w sobie nic programowego. Wracił z chińskich wojen i z japońskiej północy przez Pacyfik i Amerykę do kraju. Zatrzymał się w Kalifornii, po drodze. Po drodze trafił do Hollywood. Niepodobna ominąć tej okazji. Trzeba to zobaczyć i poznać bez uprzedzeń, bez przesady w kierunku entuzjazmu czy sceptyzmu, i tak zobaczone – pokazać czytelnikom.

Historię tego dostawiania się i poznawania ludzi filmu i ludzi z Hollywood, kronikę pobytu, doświadczeń i obserwacji, w barwnym kalejdoskopie obrazów przesuwa przed oczyma czytelnika tom „Stolica Srebrnej Magji”. Poza wartością, jaką dla czytelnika stanowi jej zajmująca, żywa i pełna akcji treść, posiada ona jeszcze tę niezmierną zaletę, że pokazuje rzeczywistość nieupiększoną, niestylizowaną, bezinteresownie i prawdziwie.



11451